



Robyn Grady



Dwa magiczne słowa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tamara Kendle nie mogła oderwać wzroku od przystojnego mężczyzny samotnie siedzącego w pierwszej ławce kościoła. Sprawiał wrażenie wykutego z kamienia. Nieruchomo wpatrywał się przed siebie.

Za każdym razem, gdy coś odwróciło jej uwagę od pastora, dopadało ją poczucie winy. Przyszła tu dziś pożegnać się z kimś wyjątkowym. Z człowiekiem, za którym tęskniła tak mocno, że aż bolało ją serce. Czuła się rozbita, zawieszona gdzieś w pół drogi do piekła.

A jednak wciąż ją intrygowała postać o szerokich ramionach widniejąca na lewo od palisandrowej trumny otoczonej kaskadami perfumowanych lilii. Nie spotkali się nigdy osobiście, ale Tamara dobrze знаła jego reputację.

Armand De Luca, australijski magnat stalowy, ostatni z rodu.

A przynajmniej on tak uważał.

Tamara już siedziała, gdy De Luca wszedł do kaplicy pogrzebowej. W trakcie mszy jego klasyczny profil emanował taką pewnością siebie, jaką mężczyźni podziwiają i w jakiej kobiety się zakochują. Silna szczęka, proporcjonalny nos, równe usta i oczy... błękitne, o ciężkich powiekach.

- Dziękuję wszystkim za przybycie. - Uwaga Tamary powróciła do pastora. - W sąsiednim budynku odbędzie się czuwanie dla pragnących wspominać Marca Earle'a.

Tamara przeżegnała się, odmówiła cichą modlitwę, w końcu westchnęła ciężko. Marc był jej najlepszym przyjacielem. Śmiali się z tego samego, zwierzali się sobie nawzajem. A kilka miesięcy temu, gdy nieszczęśliwy zbieg okoliczności zagroził jej ruiną...

Łzy zakręciły jej się w oczach.

Bóg wie, że nie zwykła się poddawać. Musiała się tego nauczyć, dorastając. Lecz tamtej nocy potrzebowała kogoś i - jak zawsze - Marc był na miejscu.

Wstała. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Wszyscy zgromadzili się w nawie, ale Armand De Luca ruszył po brązowym dywanie w stronę trumny. Z kamienną twarzą spojrzał w dół i wyciągnął dłoń, by pogłodzić lśniące drewno.

Ogarnęła ją fala porannych mdłości. Zrobiła powolny, głęboki wdech, potem bez pośpiechu wypuściła powietrze. Gdy poczuła się lepiej, rozejrzała się.

De Luca zniknął.

Zadrżała, zebrała się w sobie i poszła za głównym tłumem. Na zewnątrz włożyła ciemne okulary, by ukryć zaczerwienione oczy przed wzrokiem nieznanymi osobom, snujących się dookoła niczym duchy wirujące w takt cichnącej muzyki organowej.

Dwie znajome Marca podeszły bliżej. Identyczne, z wyjątkiem koloru włosów, bliźniaczki Kristin i Melanie często wzywały swojego mającego dobre serce sąsiada do pomocy w domowych pracach albo do załatwienia siostrzanych sprzeczek. Teraz sprawiały wrażenie zagubionych.

- Wciąż jeszcze jestem w szoku - wyznała Kristin, ściągając brwi. - Mówiłam mu, żeby nie kupował tego kretyńskiego motocykla.

- Coś takiego nie powinno się przydarzyć komuś tak dobremu jak Marc - westchnęła Melanie i zamrugła w stronę Tamary. - Nie wiem, jak ty się trzymasz. Najpierw te kłopoty finansowe w firmie, potem pożar, teraz to...

Kiedy Tamara szukała słów, Kristin warknęła na siostrę.

- Świetnie, Mel. Po co jej przypominasz?

- Ja tylko myślałam, że pech trzy razy z rzędu... - Melanie była zażenowana. - To musiało być trudne.

Trzy razy? Tamara zachwiała się. Raczej cztery. Podeszło jeszcze kilka osób. Prawie nie słuchając, Tamara patrzyła na odległą panoramę miasta leżącego poniżej wysoko położonego domu pogrzebowego. Widok szklano-metalowych konstrukcji zazwyczaj napełniał ją energią. Dziś było inaczej.

Mdliło ją coraz bardziej, żałobnicy powoli przemieszczali się w stronę pomieszczenia, gdzie czekały kanapki i gorąca herbata. Na myśl o tym zrobiło jej się jeszcze gorzej. Szybko wśliznęła się do napotkanej toalety i zacisnęła dłonie na krawędzi umywalki.

Czuła, że zaraz się pochoruje. Przynajmniej była sama. Pochylona, z czołem opartym na przedramieniu, poddała się falom mdłości. Przed oczami wciąż miała twarz Marca tego wieczoru, gdy się dowiedział, że zostanie ojcem. Powiedział, że ją kocha, że chce się z nią ożenić.

Sosnowy zapach środków antyseptycznych i woń świeżo ściętych gladioli spowodowały, że nieco oprzytomniała. Wyprostowała się gwałtownie, nasłuchując. Coś usłyszała. Pukanie?

Znów pochyliła się bezwładnie. Nie, to tylko napięte nerwy i wyobraźnia. Jęknęła, podstawiła złożone dłonie pod strumień wody. Czuła, że musi opłukać twarz.

- Przepraszam, pani Kendle?

Na dźwięk tego głębokiego głosu serce podeszło jej do gardła. Odwróciła się gwałtownie i zobaczyła męską sylwetkę.

- Boże drogi, ależ mnie pan przestraszył! - wykrztusiła z trudem.

Mężczyzna uniósł jedną brew i uśmiechnął się lekko.

- Proszę o wybaczenie. Weszła tu pani tak szybko i została tak długo, że się zaniepokoiłem. Jestem Armand De Luca, brat Marca.

Dawno zaginiony brat, dodała w myśli. Spostrzegła, że niewiele mieli ze sobą wspólnego, zarówno w wyglądzie, jak i w zachowaniu. Marc też miał błękitne oczy, tylko pełne ufności, a spojrzenie tego mężczyzny było niemal drapieżne. Właściwie to nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę jego wychowanie. Twarde dzieciństwo, pod kontrolą nadmiernie ambitnego ojca, bez matki.

Odetchnęła przez zaciśnięte zęby, zakręciła kran i uśmiechnęła się uprzejmie.

- Marc wspominał o panu.

- Cieszę się. - Uśmiechnął się. - Miałem nadzieję na chwilę rozmowy z panią.

Patrzył jej prosto w oczy, przyjaźnie, ale twardo. Coś ją skłaniało, by skinąć głową i się zgodzić. Jednak dłuższa rozmowa nie wchodziła w grę. Przynajmniej nie dzisiaj, nie kiedy cały jej świat walił się dookoła niej. Oddarła płat papierowego ręcznika, by osuszyć ręce.

- To był bardzo wyczerpujący dzień, ale jestem pewna, że wiele osób chętnie z panem porozmawia o Marcu.

- Nie mam aż tyle czasu, pani Kendle. Chcę rozmawiać tylko z panią.

Wyrzuciła ręcznik do kosza z miną teraz pełną napięcia i ciekawości.

- To zabrzmiało trochę groźnie.

- Marc mówił, że jest pani bystra.

Serce jej zabiło mocniej, nie tylko z powodu jego słów, ale i spojrzenia, dociekliwego, analizującego, jakby usiłował się doszukać jej najskrytszych sekretów.

Przybrała chłodny wyraz twarzy, wzięła z blatu torebkę i przewiesiła ją sobie przez ramię. Prawdę mówiąc, onieśmiała ją, ale nie miała najmniejszego zamiaru tego okazać. Popatrzyła mu w oczy.

- Nie wygląda pan na kogoś lubiącego podchody. Słucham więc, o co chodzi?

Przyglądał jej się przez chwilę uważnie, potem wszedł do jaskrawo oświetlonego wnętrza. Zauważyła, jak mocną miał szczękę, bardzo męskie i jednocześnie zmysłowe usta. Był nie tylko zwyczajnie atrakcyjny, emanował wręcz zwierzęcym magnetyzmem ujętym w karby gładkich manier.

- Jest pani w ciąży - powiedział bez ogródek. - Z Markiem.

Zatkało ją jak po ciosie w brzuch. Zmiękły jej kolana, a w głowie zawirowały pytania. Miała poranne mdłości, ale nic jeszcze nie było po niej widać. Czy ten De Luca miał jakąś kryształową kulę?

- Skąd pan to wie? Powiedziałam Marcowi jakąś godzinę przed wypadkiem.

- Zadzwoił, żeby się ze mną podzielić tą nowiną. Odkąd ponownie nawiązaliśmy kontakt, mój młodszy brat czasami się odzywał.

Tamara niewiele wiedziała o historii rodziny swojego rozmówcy. Tylko tyle, że ich rodzice się rozstali, gdy obaj bracia byli jeszcze mali. Marc nigdy nie wyjawiał, dlaczego matka, odchodząc, wzięła jego, a nie Armanda, ani dlaczego, kiedy obaj dorośli, nie kontaktowali się w ogóle, aż do śmierci ojca, mniej więcej rok temu. Marc nigdy nie rozpamiętywał przeszłości, co było jeszcze jednym powodem, dla którego darzyła go szacunkiem. Jednak dziś przeszłość Marca wpływała na teraźniejszość, a przyszłość Tamary, bezpieczna i bezcenna, wzrastała w niej. Uniosła głowę w geście matczynej dumy.

- Tak, jestem w ciąży. Jednak nie ma powodu, by tak mnie śledzić. Nie wybieram się za granicę.

- A ja owszem. Za kilka godzin odlatuję do Pekinu. Nie będzie mnie przez dwa tygodnie.

- W takim razie porozmawiamy za dwa tygodnie.

W momencie, gdy skończyła mówić, przyszła jej do głowy nagła myśl. Nic jej nie trzymało w Sydney. Może się obawiał, że ona zniknie, nie dbając o to, czy on zobaczy swoją bratanicę czy też bratankę? W najmniejszym stopniu nie zamierzała go wykluczać z życia tego dziecka. Nie chciała, by przeżywał kolejną separację.

Najbardziej pragnęła zapewnić dziecku szczęśliwy, spokojny i normalny dom. Oznaczało to poślubienie pewnego dnia jakiegoś mężczyzny, kochającego ich oboje i kochanego. W tej chwili jednak w najlepszym interesie dziecka będzie zapewnienie mu kontaktu z jak najszerszą rodziną. Złagodniała.

- Jeśli martwi się pan o odwiedziny, nie ma o co. Chcę, by moje dziecko znało swojego stryja. Rodzina jest ważna - zawahała się, po czym dodała: - Najważniejsza.

Wyraz jego twarzy prawie się nie zmienił, znikła tylko zmarszczka pomiędzy brwiami.

- Bardzo proszę poświęcić mi pięć minut, panno Kendle, ale w jakimś przyjemniejszym miejscu.

Ten mroczny tembr jego głosu, ten ogarniający ją dreszcz...

Przedtem nie była pewna, jednak przez kilka ostatnich sekund czuła to równie wyraźnie jak jeżenie się włosów na głowie. Coś było nie tak.

Jej serce zaczęło bić szybciej i mocniej. Czy to jakaś dziedziczna choroba, o której powinna wiedzieć? Epilepsja, uczulenie, wada serca... coś wymagającego szybkiej pomocy?

- Cokolwiek zamierza mi pan powiedzieć, jeśli to ma znaczenie i dla mnie, i dla dziecka, które noszę, chcę wiedzieć, o co chodzi. - Przełknęła z trudem. - Tu i teraz.

Wyprostował się i powoli podszedł bliżej, aż poczuła się jak owinięta w kokon wonią jego kosmetyków i nie mogła się uwolnić od jego coraz twardszych oczu.

- Tak, dotyczy to pani dziecka, panno Kendle, tak samo jak nas obojga. - Wyprostował się jeszcze bardziej. - Chcę się z panią ożenić.

Piętnaście minut później Armand siedział z ręką zarzuconą na oparcie ocienionej parkowej ławki, obejmując nią siedzącą obok, osłupiałą Tamarę Kendle. Była bledsza niż ściskany w dłoni styropianowy kubek.

Wciąż była w szoku. Kiedy tak nagle się oświadczył w domu pogrzebowym, ugięły się pod nią nogi. Pochylił się, by ją złapać, a w chwili gdy się oparła o jego ciepłe ciało, przysięgłby, że krew w nim zawrzała. W następnej chwili pojawiło się poczucie winy.

To uczucie przeżerało mu teraz wnętrzności, ale zacisnął zęby i odepchnął je. W ciągu ostatnich czternastu miesięcy widział brata osiem razy, wliczając w to pogrzeb ojca. A teraz prawie mu nieznanemu brat nie żył.

Poślubienie kobiety, którą kochał brat, mogło się wydawać bezduszne, niektórym wręcz bezwstydnym. Armand rozumiał te odczucia, ale nie mógł im po-

zwolić wpływać na decyzje. Grał według własnych zasad. Użalanie się nad sobą w zaistniałej sytuacji nie miało żadnego sensu. Przeszłości nic nie mogło zmienić, liczyła się tylko przyszłość, a ich związek byłby z korzyścią dla wszystkich:

Tamary, dziecka i jego samego.

- Jeszcze trochę wody czy możemy już rozmawiać?

Moment był fatalny. Gdyby nie ten interes z Chinami, zmuszający go do wyjazdu z kraju, podszedłby do sprawy inaczej i dziś tylko by się przedstawił, a potem przez kilka dni zjawiał z wizytą, przyzwyczajając ją do siebie. A jednak może tak było lepiej. Mnóstwo spraw wymagało załatwienia - i to szybko - zwłaszcza to, jak jego narzeczeństwo miało się do losów spadku po ojcu.

Tamara bardzo starannie ustawiła kubek na listwie.

- Jeśli chce pan rozmawiać o ślubie, to szkoda słów.

Spodziewał się takiej reakcji.

- Znam pani sytuację.

Zobaczył podejrzliwość rodzącą się w jej oczach w miarę pojmowania wszystkich implikacji tej wypowiedzi. Ponownie zeszywniała.

- Moją... sytuację?

- Jest pani - odpowiedział tonem zdecydowanym, ale starannie unikając konfrontacji - bez pracy od dwóch miesięcy, od chwili, gdy pani interes wypadł z rynku z powodu braku płynności finansowej.

- Za sprawą wielkiej firmy, która odmówiła zapłacenia faktury. - Zmarszczyła brwi w przyływie niepewności. - A skąd pan to wie? Marc by nic nie powiedział. To nie miało z panem nic wspólnego.

- Teraz ma. - Popatrzył spokojnie w jej zielone oczy. - Nie ma pani ubezpieczenia.

Zamrugnęła, zupełnie jakby w ogóle nie przyszło jej to do głowy.

- Nie, nie mam.

- Lecz chciałaby pani, by o nią i dziecko mógł zadbać jak najlepszy lekarz. -
Opadła na oparcie, blednąc jeszcze bardziej. - A co z porodem? Jeśli będzie
potrzebne cesarskie cięcie, nie chciałaby pani wiedzieć, kto trzyma skalpel?

- W tym kraju jest bardzo dobra państwowa służba zdrowia.

- Chciałaby pani wiedzieć, kto i gdzie dba o pani dziecko, a to wyklucza
wielogodzinne wysiadanie w kolejkach i przemęczonego lekarza, przy każdej
wizycie innego. W dzisiejszym świecie selekcyjonowania ofiar, jeśli się chce mieć
dobrą pomoc, trzeba za nią zapłacić.

Przeszywała go wzrokiem.

- Zapytam jeszcze raz. Skąd pan to wie?

- Kilka telefonów. - Pieniądze pozwalały zdobyć nie tylko najlepszą opiekę
medyczną. W porównaniu z nią informacja była raczej tania.

Jej policzki poczerwieniały od gniewu.

- Sprawdzał mnie pan?

- Przyglądałem się życiu mojego zmarłego brata.

- Raczej życiu uczuciowemu.

Przysunął się bliżej, pragnąc jej zrozumienia. Ta rozmowa i dla niego nie była
przyjemna.

- Nie ma pani żadnych dochodów i żadnej liczącej się rodziny. Chcę pomóc.

- Oświadczając się. Czy to nie przesada? A co z prostymi rozwiązaniami
takimi jak wypisanie czeku? Co wcale nie znaczy, że chcę pańskich pieniędzy.

- Bardzo szlachetne, ale przy pani kłopotach raczej niepraktyczne.

Choć wcale nie bogaty, Marc mógł sobie pozwolić na odrzucenie spadku rodu
De Luca, nawet wyśmiać sugestię, że kiedyś bracia mogliby się porozumieć i razem
robić interesy. Sytuacja Tamary była zupełnie inna.

Rumieniec zalał jej szyję.

- Potrafię utrzymać pracę.

- Taką jak recepcjonistka u taniego fryzjera. Będzie raz lepiej, raz gorzej, sprzątanie podłóg, bezustanne popędzanie, osiem do dziesięciu godzin dziennie na nogach. Z tego co widziałem nad tamtą umywalką, ciąża bardzo pani dokucza. Jak pani sobie poradzi?

Duma wyprostowała jej plecy. Podziwiał jej upór. Wiedział, że gdyby miała choćby najmniejsze szanse poradzić sobie samodzielnie, zrobiłaby to. Zatrzymał jednak tę myśl dla siebie.

- Jestem wdzięczna za pracę, nawet jeśli to tylko namiastka - powiedziała. - Zamierzam zrobić magisterium z ekonomii, a potem ponownie uruchomić swoją firmę obsługi imprez. Albo, w razie potrzeby, podejmę pracę gdzie indziej i wypracuję sobie stanowisko. - Rzuciła mu niemal łobuzerskie spojrzenie. - Ale to też już pewnie pan wie.

Z trudem ukrył uśmiech. Ostra dziewczyna. Jakaż różnica w porównaniu z robiącymi wszystko na pokaz rozpieszczonymi pannicami z wyższych sfer, z którymi się dotąd umawiał - interesownymi kobietami, hojnie szafującymi pochlebstwami i fałszywymi uśmiechami. Wobec nich czuł ogromną rezerwę i nie myślał o dłuższych związkach.

Kogóż on oszukuje? Nie wierzy przecież w romantyczną miłość, nie zaznał jej wcale, choć najwyraźniej inni tak.

Poszukał właściwych słów.

- Wiem, że kochaliście się z Markiem. Mówił mi, że zamierzacie się pobrać i mieć więcej dzieci. Najwyraźniej otrząśnięcie się po tej stracie zajmie pani więcej czasu...

- Zaraz! - Tamara machnęła dłonią. - Marc mógł mnie kochać, ale nie zgodziłam się wyjść za niego. Uważałam go tylko za przyjaciela. Bardzo bliskiego przyjaciela.

Armand zeszywniał. Nie był święty, ale to nie bardzo mieściło mu się w głowie.

- Czy często pani sypia z przyjaciółmi, panno Kendle?

Szarpnęła się jak uderzona w twarz. Złapała torebkę i zerwała się na równe nogi.

- Już dość usłyszałam.

Gdy się odwróciła na pięcie, chwycił ją za rękę. Jeszcze nie skończyli.

Bezpośredni kontakt wywołał w nim gwałtowną reakcję, która zalała zarem całe jego ciało, tak samo jak godzinę temu, gdy się oświadczył i zemdlął. Świadom tego wstał powoli, próbując uchwycić głębszy sens tego uczucia. Sądząc po zaskoczeniu malującym się w jej oczach, poczuła coś podobnego - ten prąd pulsujący pomiędzy nimi. Rzucił okiem na ładną linię jej ust. Pradawna bestia przeciągnęła się w nim i ziewnęła.

- Nie była pani fizycznie zainteresowana Markiem?

Pomiędzy nimi niewątpliwie iskrzyło. Z oczywistych względów wcale tego nie oczekiwał. Nie bardzo wiedział, co z tym zrobić. Właściwie był to pod wieloma względami jego pierwszy raz.

Odzyskując równowagę, uwolniła się z jego uchwytu.

- Marc był miły, rozważny i potrafił rzucić wszystko, jeśli potrzebował go przyjaciel. Raz się tak zdarzyło... - W jej oczach był ból zranionego serca. - Nie sądzę, by pan to zrozumiał.

Zabolało go to, ale naciskał dalej. Nie miał czasu na rozważanie, który z nich był lepszym człowiekiem.

- Miała pani złą passę. - Wiedział również o domu i o pożarze. - Dziś nadarza się pani okazja odwrócenia losu.

Uśmiechnęła się smutno.

- Małżeństwo z rozsądku? - Oczywista bezbronność, niewinność bijące z jej twarzy ścisnęły mu serce. Skinął głową. Zdawała się rozważać ten gest szczerości, a potem w jej spojrzeniu powróciła nieufność. - A pan co będzie z tego miał?

Nie wahał się ani przez moment.

- Dziecko będzie miało dwoje rodziców.

Odczekała chwilę.

- I?

- Czy potrzebny jest jakikolwiek dodatkowy powód?

Tamara Kendle pochodziła z rozbitej rodziny, o wiele biedniejszej niż jego. Nieobecny ojciec i matka bez wykształcenia. W porównaniu z jej dzieciństwem jego młodzieńcze kłopoty wyglądały zupełnie niepoważnie. Możliwość zapewnienia dziecku poczucia bezpieczeństwa w stabilnej, pełnej rodzinie powinna być dla niej wystarczającym argumentem.

Odeszła w stronę płotu otaczającego plażę. Odwróciła się do niego z poważną twarzą.

- Panie De Luca, powiedział pan, że jestem bystra. Proszę więc nie unikać odpowiedzi na moje pytanie.

Podszedł do niej, oparł się o balustradę i wbił wzrok w rozkołysane morze.

- Owszem, jest jeszcze jeden powód. - Właściwie i tak się o tym dowie.

- Słucham.

- Muszę uzyskać kontrolny pakiet w firmie mojego zmarłego ojca. Testament oddał go w powiernictwo.

- A jaki to ma związek ze mną?

- Zanim otrzymam ten pakiet, muszę wypełnić jeden warunek. W dniu trzydziestych trzecich urodzin muszę mieć potomka. Innymi słowy, za siedem miesięcy potrzebuję legalnego dziedzica.

- Mojego dziecka? - Zaśmiała się niedowierzająco. Czy naprawdę można umieszczać takie zastrzeżenia w testamentach? To trąci średniowieczem.

- Dante, mój ojciec, był raczej staroświecki. Od lat wiedziałem, że zależy mu na przekazaniu swego dziedzictwa następnemu pokoleniu. Właściwie to rozumiem.

- A jeśli w wyznaczonym terminie nie będzie pan miał potomka?

- Pakiet kontrolny pozostanie w rękach najbliższego przyjaciela mego ojca, radcy prawnego firmy.

Bezdzielnego mężczyzny, którego Armand podziwiał i od dzieciństwa nazywał wujem. Człowieka, któremu ufał i który - jak wierzył - i tak przekazałby mu pakiet kontrolny. Wolałby jednak spełnić żądanie ojca, by nie stawiać Matthew, bardzo uczciwego człowieka, w wątpliwym etycznie położeniu. Przekonanie Tamary do małżeństwa wyeliminowałoby te nieścisłości i wszyscy, w tym dziecko, byłiby wygrani.

- Coś tu się nie zgadza - stwierdziła Tamara. - Człowiek taki jak pan powinien bez trudu znaleźć nader chętną pannę młodą. Dlaczego czekał pan aż do teraz?

- Powiedzmy, że prawdziwa miłość jakoś mnie ominęła.

- Pragnie pan prawdziwej miłości? - Wyprostowała się i po raz pierwszy uśmiechnęła się szczerze. Efekt był taki, jakby ktoś jej zapalił w środku płomyk: cała się rozświeciła. Niewiele brakowało, a odpowiedziałaby takim samym uśmiechem. - W takim razie na pewno pan zrozumie, dlaczego taki układ pomiędzy nami nie ma szans się sprawdzić. Będzie pan musiał znaleźć inny sposób. Ja także pragnę odnaleźć tę właściwą osobę, tak samo jak pan.

Przyglądał jej się uważnie. Była o wiele bardziej atrakcyjna, niż mu się z początku zdawało. Miała aksamitną skórę, a głowę na długiej szyi nosiła po królewsku. Przez krótką chwilę zapragnął się przyłączyć do jej naiwnego entuzjazmu, jednak już dawno przestał wierzyć w prawdziwą miłość.

- Źle mnie pani zrozumiała. Nie wierzę w baśnie.

- To znaczy, że nie wierzy pan w miłość?

Zagryzł wargi, nagle poirytowany, mając jednak mocne argumenty. Nie musiał przy tym wcale omawiać osobistych żalów. Wystarczy statystyka.

- Mam znajomego prawnika zajmującego się rozwodami. Połowa małżeństw z miłości kończy się separacją. Tych z rozsądku tylko cztery procent. W niektórych kulturach możliwość zaaranżowania narzeczeństwa uważana jest za przywilej.

- Dobry Boże, pan mówi serio! - zamrugła zdumiona.
- Proponuję partnerski układ oparty na uczciwości i szacunku.
- Pańska propozycja jest nie do przyjęcia.
- Rozumiem, że moment nie jest najwłaściwszy...
- Do diabła, nie. Dziś pochowaliśmy pańskiego brata. - Cofnęła się z wyrazem

pogardy na ustach. - Poza tym niezależnie od pańskiego przekonania, ja nie jestem rzeczą, którą może pan sobie kupić dla poprawienia stanu interesów. Moje dziecko tym bardziej. Tak, od mężczyzny, którego poślubię, oczekuję uczciwości i szacunku. Ale również rozwoju związku, zaangażowania i namiętności.

- Namiętności? - spytał zaciekawiony.
- Każda kobieta tego pragnie.
- Większość mężczyzn także.

Nie dokonywał pochopnych wyborów. Ostatniej nocy długo nie mógł zasnąć, a dzisiaj w kaplicy nadal rozważał wszystkie za i przeciw wypełnienia warunków testamentu, czyli poślubienia nieznajomej jeszcze kobiety i dania jej dziecku nazwiska De Luca. Jednak nawet przez myśl mu nie przeszło, że poczuje to przyciąganie, to pragnienie ujęcia w dłoń jej twarzy i posmakowania jej ust.

Do diabła, jakże chciał ją pocałować.

Odwróciła wzrok i odgarniając włosy z twarzy, popatrzyła na ruchliwą ulicę. Wciąż unikając jego oczu, powiedziała:

- Czeka na pana samolot, a ja muszę iść do domu i zastanowić się nad wydarzeniami dzisiejszego dnia.

Zerknął na zegarek. Gdzie się podziała cała godzina? Wciąż jednak miał jeszcze czas. A jeśli nie, to go zorganizuje.

- Podwiozę panią.

Chciał ją ująć za łokieć, ale odsunęła rękę.

- Pojadę autobusem. Naprawdę - uciszyła jego protesty. Cofnął się niechętnie.
- I naprawdę nie zamierzam też odsuwać pana od naszego życia.

Po krótkim wahaniu zaczęła grzebać w torebce.

- Jak sądzę, ma pan już mój numer telefonu.

Napięcie dręczące go od kilku dni nieco opadło.

Miał jej numer, ale nie zamierzał protestować, jeśli sama chce mu go podać.

To był ten drobny punkt zaczepienia. Na razie musi wystarczyć.

Wyjęła notes i długopis. Obserwował, jak pisze. Lewą ręką. Gładka skóra, długie, szczupłe palce, stworzone do biżuterii.

Podawała mu kartkę, pożegnała się krótko i uciekła jak spłoszony królik. Patrzył, jak spiesznie przemyka w cieniu palmowych liści w stronę przystanku. Jakoś niespodziewanie czternaście dni i nocy w Pekinie wydało mu się bardzo długim czasem.

Idąc do samochodu, rozłożył kartkę. Zatrzymał się w pół kroku, by ją przeczytać, dla pewności trzy razy.

„Proszę dać mi chwilę”.

Powoli na jego twarzy pojawił się uśmiech. Da jej dwa tygodnie. A potem... niczego nie mógł obiecać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tamara wsunęła się powoli przez obdrapane drzwi swojego mieszkania, ściskając nadgarstek i z trudem powstrzymując łzy bólu i frustracji.

Przez sześć dni biegała po salonie fryzjerskim, cały czas na nogach. Walczyła z codziennymi porannymi mdłościami. Bez złości zaakceptowała mizerną pensję. Jednak zderzenie ze współpracownicą - powód obolałego nadgarstka - przeppełniło czarę. Napisała wymówienie. Dwadzieścia minut szła do domu i teraz miała dość. Była zbyt zmęczona, by myśleć. Gdyby teraz trzęsienie ziemi wywróciło kontynent do góry nogami, prawdopodobnie by je przespała.

Rzuciła torebkę pod drzwiami do sypialni, kopniakami zrzuciła pantofle na płaskim obcasie, ze starej lodówki wyciągnęła torbę mrożonego groszku, przyłożyła ją wokół pulsującej bólem ręki i zwała się na zniszczoną kanapę.

Odpywała w sen, gdy odezwał się telefon. Zakryła zdrową ręką oczy i jęknęła:

- Odczepcie się!

Mogła to jednak być wiadomość z agencji pracy. Nie stać jej było na luksus rzucenia wszystkiego na miesiąc. Z trudem wstała, odgarnęła stos rachunków i wyciągnęła spod nich słuchawkę. Melanie.

- Jesteśmy z Kristin ciekawe, jak sobie radzisz. To już tydzień. W końcu zaczyna do ciebie docierać, prawda?

Tamara wcisnęła się w poduszki i zapatrzyła w sufit. Jedyna dobra strona zapracowania i przemęczenia była taka, że nie miała kiedy pograć się w rozpacz. Marc odszedł na zawsze, to prawda, zaczęło to do niej docierać. Na pewno będzie bardzo za nim tęsknić. Jako szefowa firmy pokazywała silną osobowość, ale w głębi duszy była bardzo wrażliwa.

W wieku dwudziestu sześciu lat wciąż jeszcze miała inklinacje do pozostania singielką. Jednak w towarzystwie Marca czuła się tak dobrze, czuła się sobą. Między innymi dlatego był jej tak drogi i dlatego dziecko było jeszcze ważniejsze.

- Dzięki za telefon, Mel. U mnie wszystko dobrze.

Wzrok ześliznął jej się na stos podręczników uniwersyteckich ustawionych starannie na szarym blacie stołu. Wsunęła bosą stopę pod kolano drugiej, zgiętej mocno nogi i odwróciła się. Nie była jeszcze gotowa na to wyzwanie.

- A co u was, dziewczyny? - spytała. - Trzymacie się z dala od kłopotów?

Kiedy Melanie opowiadała wydarzenia z ostatniego tygodnia, Tamara zmusiła się do przejrzenia rachunków: przypomnienie z wodociągów ostrzegające przed groźbą odłączenia, wypisane czerwonymi literami przypomnienie o dwutygodniowej zwłoce w opłacie czynszu. Zaczęła się zastanawiać, jak się teraz eksmituje ludzi. Czy wyprowadzą ją chwytem za kark?

Energiczne pukanie rozległo się po pokoju. Zachłysnęła się z zaskoczenia, zgniatając rachunki. Melanie zamilkła na moment.

- Coś się dzieje?

- Ktoś puka. Oddzwonię.

Jeśli to właściciele zamierzający ją wyrzucić, nie ma co tego odkładać. Zawsze można się zwrócić o państwową pomoc albo poszukać tańszego lokum. Rozejrzała się po maleńkim pokoju. Czy w ogóle istnieje coś tańszego?

Rozległ się dzwonek, głośny, natarczywy. Odgarniając kosmyki włosów, które wymknęły jej się spod spinki zbierającej sięgający do pasa koński ogon, ruszyła krok za krokiem do drzwi. Otworzyła je i serce zamarło jej w piersi.

Przede wszystkim zobaczyła ciemne, eleganckie spodnie. Potem rozpiętą pod szyją drogą koszulę z podwiniętymi rękawami odsłaniającymi opalone, silne przedramiona. Powyżej ślady zarostu na mocnej szczęce gwiazdora filmowego i kosmyk czarnych włosów nad wysokim czołem. Błękitne oczy spoglądające twardo, wręcz hipnotycznie.

Armand De Luca.

Otrząsnąwszy się nieco, odetchnęła głęboko.

- Sądziłam, że była mowa o dwóch tygodniach.

- Zmieniły się w jeden.

Wciąż poruszona, oparła policzek na dłoni spoczywającej na framudze i postanowiła nie udawać.

- Proszę nic nie mówić, zapewne już pan wie.

- Niech zgadnę. Rzuciła pani pracę recepcjonistki w salonie. - Zauważył torbę mrożonego groszku przymocowaną do jej przedramienia i skrzywił się. - Widzę też dlaczego.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł i ujął ją za poturbowaną rękę.

W pierwszej chwili chciała się wyrwać i kazać mu się trzymać z daleka.

Wcale nie była pewna, czy podoba jej się to, co z nią robi jego dotyk. Jednak tak była zmęczona, że unikanie jego pomocnych rąk wydawało się dziecinadą. Poza tym wcale nie było to niemiłe.

- Zaprosiłabym pana do środka... - przyglądała się, jak delikatnie odwija ręcznik i porusza jej nadgarstkiem - ale jest już za późno.

Przyjrzał się dokładnie kontuzjowanej ręce.

- Kiepsko to wygląda.

Palcem wskazującym przycisnął mocno zaczerwienione miejsce, już zmieniające kolor na żółtozielony. Fala bólu podniosła jej włosy na głowie, a oczy wypełniły się łzami. Wyrwała się i uciekła na kanapę, przyciskając ostrożnie do siebie chorą rękę.

- Trzeba to zbadać.

- Wystarczy zostawić ją w spokoju.

Spojrzał na nią z dezaprobatą.

- To pani potrzebuje spokoju.

Strzał w dziesiątkę!

- Racja. Więc jeśli mógłby pan... - Spróbowała skierować go do drzwi, ale równie dobrze mogłaby usiłować poruszyć Ayers Rock*. Musiała się poddać. - Cóż więc mogę dla pana dziś zrobić, panie De Luca?

* Uluru, Ayers Rock, The Rock - trzy nazwy formacji skalnej w centralnej części Australii. Znajduje się ona w parku narodowym Uluru-Kata Tjuta, niedaleko miasteczka Yulara, 400 km na południowy zachód od Alice Springs. Ma ponad 318 m wysokości i 8 km obwodu. W 1985 r. rząd Australii przekazał prawo własności Uluru miejscowym Aborygenom, plemieniu Anangu, które oddało ją rządowi w 99-letnią dzierżawę. W miejscu tym utworzono mający 1325 km² park narodowy (Uluru-Kata Tjuta National Park). Dla plemienia Anangu skała Uluru jest świętym miejscem i woleliby oni, aby turyści nie wchodzili na górę. Nie istnieje oficjalny zakaz, ale przebywający pod skałą Aborygeni często starają się przekonywać turystów, by respektowali ich zwyczaj. Zakazane jest natomiast fotografowanie niektórych fragmentów góry. *(przyp. tłum.)*

- Armandzie - odparł niskim głosem. - Może pani pójść ze mną do domu.

Aż się cofnęła po tym oświadczeniu. Nie da mu jednak satysfakcji, pokazując, jak silnie jego słowa i sama obecność na nią wpływają. Uśmiechnęła się hardo.

- Upór to chyba pańska druga natura. Ot, tak sobie rzuca pan „pójść ze mną do domu”.

Opadła na kanapę. Uraziła się przy tym w nadgarstek i jęknęła z bólu. Usiadł obok niej.

- Wcale nie ot, tak sobie. Nie tylko jest pani ranna, ale zapomniała pani chyba też o naszej rozmowie sprzed tygodnia.

Aż nazbyt świadoma jego magnetycznej siły odsunęła się nieco.

- Niczego nie zapomniałam. - Włączając w to jego śmieszny propozycję małżeństwa na pogrzebie Marca.

Przerzucił wzrok gdzieś za nią. Niech to szlag. Zauważył rachunki. Kiedy zgarnął je jednym ruchem - jak człowiek uparcie dążący do celu - instynktownie wyczuła, że nie warto protestować. Spróbowała udać, że niewiele ją to obchodzi. Po dłuższej chwili odłożył papiery.

- Ma się pani gdzie podziąć?

Zmusiła się do śmiechu, który zabrzmiał jak przyduszony jęk, a nie rozbawienie.

- Wcale nie jest tak źle.

Jego beznamiętne spojrzenie powiedziało jej, że ani trochę się z nią nie zgadzał. Milczenie się przeciągało. W końcu, choć to bardzo bolało, Tamara musiała sama przed sobą przyznać, jaka jest prawda. Oprócz Marca nie miała nikogo bliskiego. Owszem, były Melanie i Kristin oraz jeszcze kilku znajomych z uniwersytetu, ale nikt z nich się nie nadawał do tego, by mu się zwalić na głowę.

Matka mieszkała w Melbourne, jednak kontaktowały się raczej rzadko. Napawało ją to jednocześnie i smutkiem, i satysfakcją. Dziwnie jest kochać kogoś, przy kim człowiek niemal zawsze czuje się kompletnie niewidoczny. Kiedyś postarałaby się zwrócić na siebie uwagę matki, później uznała, że mądrzej będzie nie tracić na to energii. Elaine Kendle była głęboko pogrążona w mrocznym świecie „gdyby tylko...”, prawdopodobnie do dzisiaj, i Tamara niewiele mogła z tym zrobić.

Armand wstał.

- Nie będę nalegał, jeśli postanowi pani tu zostać aż do chwili, gdy przyjdą panią eksmitować, co zapewne nastąpi lada dzień. To pani wybór.

Ruszył do drzwi. Zamarła. Ściany, które przed chwilą wręcz ją przyduszały, teraz znikwały błyskawicznie. Widziała tylko Armanda sięgającego do porysowanej gałki u drzwi. Wychodził... Odblokowało ją.

- Zaczekaj!

Odwrócił się błyskawicznie i popatrzył jej w oczy. Nie mogła się ruszyć. Do diabła, nie była przyzwyczajona do przyjmowania pomocy. Wyraz jego oczu zmienił się z wykalkulowanego braku zainteresowania na oczekiwanie. Równym krokiem podszedł do niej i powoli wyciągnął rękę. Zawahała się, westchnęła z rezygnacją i ujęła jego dłoń. Otoczył jej palce swoimi. Ciepło od jego dłoni popłynęło wzdłuż jej ręki, wywołując ciarki.

- Powiedz, co ci będzie potrzebne - poprosił, pomagając jej wstać.

Skinęła głową. Razem zebrali trochę rzeczy: ubrania, książki i Einsteina, roślinę w doniczce. Wszystko to, jej sytuacja, ten przystojny, uparty mężczyzna wydawało się nierealne.

Piętnaście minut później wciąż była oszołomiona. Po raz kolejny w jej życiu nastąpił nieoczekiwany zwrot. Gdy Armand, trzymając w silnych rękach stertę jej rupieci, ostrożnie schodził po schodach, obserwowała go, zastanawiając się, które z jej barier zaplanował przełamać w następnej kolejności.

Tamarę powitało spojrzenie brązowych ślepiów smutno patrzących spomiędzy obwisłych powiek oraz oddech, od którego łzy zakręciłyby się w oczach kamiennego gargulca.

Kłęcząc w ogromnej kuchni Armanda De Luki, zmusiła się do zignorowania nosa i zdrową ręką podrapała zaspanego bloodhouna za obwisłymi uszami.

- Jak długo tu jesteś, Mistrzu? Od ostatniego zlodowacenia?

Oparty o półkę Armand skupił się na przeglądaniu poczty. Na moment uniósł wzrok i uśmiechnął się jednym kącikiem ust, od czego zrobiło jej się dziwnie gorąco w podbrzuszu.

- Nic nie wiem o epoce lodowcowej - powiedział, wracając spojrzeniem do listów. - Może to było, kiedy zacząłem nosić długie spodnie.

Tamara spuściła wzrok. „Długie” pasowały do niego. Jego nogi wyglądały smakowicie w spranych džinsach, w które się przebrał zaraz po powrocie do domu. Domu, który jak na razie okazał się ogromną rezydencją w śródziemnomorskim stylu, stojącą w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Sydney.

Wysokie sosny widoczne przez sięgające sufitu okna zdobiły wielką przestrzeń trawnika, w tle rozciągał się widok na port pełen barwnych jachtów oraz dalekie, muszlopodobne dachy opery. Wewnątrz królowały marmurowe podłogi, kamienne kolumny, ozdobne świetliki... Nawet budzone każdym krokiem echa sugerowały niezmierną ekstrawagancję.

- Ten dom jest taki ogromny... - mruknęła. I cichy. Jeszcze raz podrapała psa. - Zastanawiam się, czy Mistrz nie bywa samotny.

Nie ulegało wątpliwości, że Armand większość czasu spędzał w biurze. Każdy mógł poczuć samotność, nawet pies.

Kiedy gospodarz odłożył listy i podszedł do niej, Tamara przytrzymała obolały nadgarstek. Podchodził niczym drapieżnik, choć jednocześnie bez pośpiechu, zupełnie jak pantera, która nie musi się przejmować, że śniadanie jej ucieknie.

- Mistrz od lat przyjaźni się z ogrodnikiem. Spędzają razem całe dni. Uwielbia też gospodynię. Myślę, że i ty pokochasz Ruth.

Tamara spotkała już gospodynię, która sprawiała miłe wrażenie. Wstała.

- Nie będę tu wystarczająco długo.

Założył silne ręce na szerokiej piersi. Luźne poły koszuli kusily ją, by podejść i dotknąć „zębów”, które na pewno miał na brzuchu.

- W takim razie musisz mieć jakiś plan.

- Oczywiście.

Podszedł do obramowanego złotem blatu, przyniósł dwie parujące filiżanki, herbatkę z liści malin i kawę świeżo zaparzoną w urządzeniu, które kosztowało zapewne więcej niż porządne wakacje.

- Niech zgadnę. Twój plan obejmuje znalezienie nowej pracy.

- Dopiero niedawno zostałam bezrobotna.

- To prawda. Nie zdarzyło ci się to od ukończenia liceum.

Jej duma ucierpiała, ale przecież widział u niej w domu podręczniki uniwersyteckie. Niewiele jej już brakowało do zdobycia magisterium z ekonomii, co, musiała przyznać, było jednak sporym wyzwaniem. Zwłaszcza aktualny kurs wymagał sporo wysiłku. Drugie podejście do analizy danych wcale nie okazało się łatwiejsze niż pierwsze, niemniej musiała przyznać mu rację.

Podeszła do stołu przystawionego do przeszklonego okna udekorowanego koszykami z bujnymi złotowłosami*.

* Maidenhair (ang.), *Adiantum sp.* - złotowłos, rodzaj ozdobnej paproci o bardzo delikatnej budowie i trudno zwilżalnych liściach, (przyp. tłum.)

- Tak, przerwałam szkołę. Skończyło się to własną firmą.

- Idealne Imprezy, firma zajmująca się organizacją przyjęć. Będąc z zawodu fryzjerką, przypadkowo znalazłaś właściwe powołanie po tym, jak kilkakrotnie proponowałaś organizację spotkań przyjacielom i organizacjom charytatywnym.

Zapominając o tym, że powinna być zirytowana jego śledztwem, przypomniała sobie, jak to było, i uśmiechnęła się.

- Wigilie, spotkania szkolne, kilka obiadów dla zebrania funduszy. - Miała dość mieszania farb i czesania, a te imprezy to była taka frajda.

- Jednak przejście do organizacji imprez dla wielkich korporacji okazało się poważnym krokiem - ciągnął.

Najlepsze dostępne fajerwerki, najwyższej klasy catering, najrozmaitsze specjalne życzenia klientów - każde kolejne zadanie było ekscytujące. Radziła sobie znakomicie... przez jakiś czas. Jednak w końcu dopadł ją niedostatek zmysłu do interesów. Nie najlepiej sobie radziła z księgowością, a przynajmniej z analizą danych i rachunkiem należności. Kiedy wylądowała na mieliźnie, nic nie mogło jej uratować.

- Niezadowolony klient odmówił zapłaty za kosztowny element imprezy. W momencie, gdy już miałaś ryzykowny debet, to było za wiele. Bank zażądał natychmiastowej spłaty. Nikt nie zaryzykował pożyczki. Straciłaś firmę - dokończył.

Ogarnęły ją żal i wściekłość.

- Straciłam wszystko. To przez Barclays Australasia.

Najpierw poszło jej pięcioletnie czerwone coupe. Kochała ten samochód. Potem seria desperackich wyprzedaży garażowych. Prawa własności do jej skrom-

nego, ale przemiłego domu byłyby następne, gdyby sprawy nie załatwił wcześniej ogień. Drobnym drukiem w umowie z ubezpieczycielem oznaczał „żegnaj żywopłocie, witaj kawalerko”. Z trudem uzbierane niewielkie oszczędności diabli wzięli.

- Życie nie zawsze jest fair - rzekł.

Choć jego słowa dokładnie odzwierciedlały jej myśli, w ustach bogacza wydawały się trywialne. Milioner nie mógł wiedzieć, jakie trudności w walce o przetrwanie napotykali właściciele małych firm. Nie zdołała się powstrzymać przed złościwością.

- Może jeszcze raz przejedziemy się twoim bentleyem i dokładniej mi wyjaśnisz, co jest fair.

W oczach coś mu błysnęło: irytacja czy ostrzeżenie?

- Schowaj pazury, kocico. Chcę pomóc, pamiętasz?

Chyba przede wszystkim sobie.

Gospodyni Armanda weszła do pokoju, rozładowując napięcie. Ruth była przeciwieństwem wszelkich stereotypów związanych z tym zawodem. Była wysoka i szczupła, i nosiła niezmiernie elegancki strój, a nie byle jaki uniform. Prawdopodobnie tuż po sześćdziesiątce, wciąż była atrakcyjną kobietą: platynowa blondynka nosząca gwiazdziste, szafirowe kolczyki. Jedynymi oznakami jej zawodu były bardzo krótkie paznokcie i fartuch. Gdy splotła dłonie, uśmiechając się delikatnie, Tamarze zaświtało pytanie, czy ta kobieta ma wnuki?

- Coś jeszcze, sir?

Armand uśmiechnął się do niej szczerze.

- Dziękuję ci bardzo, resztą już sam się zajmę.

Spokojny wzrok Ruth spoczął na Tamarze.

- Miło mi panią poznać, pani Kendle.

Wcześniej gospodyni przygotowała przekąskę. Apetyt Tamary, pobudzony hormonami, sprawił, że zwykła kanapka z szynką i serem na razowcu smakowała jak nigdy.

Tamara pospieszyła z pochwałą.

- Jeszcze raz dziękuję za kanapkę, Ruth. Była idealna.

- Proszę poczekać, aż spróbuje pani mojej polędwicy wołowej we francuskim cieście - zbyła komplement i odwiesiła fartuch na haczyk w drzwiach do spiżarni. - Jego ulubione danie.

Siedzący obok Tamary Armand wsypał sobie do filiżanki potężną porcję cukru.

- Moje ulubione danie to twoje ciasto miętowo-czekoladowe - oznajmił.

- Łasuch - mruknęła cichutko Ruth do Tamary. - Będę wcześniej rano - powiedziała głośno. - Mistrz musi iść do weterynarza...

- Zajmę się tym - przerwał jej Armand. - Miłego weekendu.

Ruth mrugnęła dyskretnie do Tamary i wyszła z pokoju.

- No to do poniedziałku - rzuciła na pożegnanie.

Tamara wzięła filiżankę, napawając się ziołowym aromatem, a Armand wrócił do tematu.

- Mówiliśmy o zgonie twojej firmy.

Wzdrygnęła się. Czy musiał to ujmować w taki sposób?

- W obecnej chwili mam kłopoty, ale poradzę sobie. - Zawsze tak było.

Zmarszczył czoło, spoglądając wyzywająco.

- Tak jak poradziła sobie twoja matka?

Gardło jej się ścisnęło. Pomimo że matka ją zaniedbywała, Tamara kochała ją i pragnęła jej obecności w swoim życiu, gdy była dzieckiem. A jeśli jeszcze się ośmieli wspomnieć jej ojca...!

- Moja matka nie ma z tym nic wspólnego.

Starannie rozważył jej odpowiedź.

- Masz rację. Rzecz dotyczy ciebie i tego, jakie szanse, jako matka, zapewnisz lub nie swojemu dziecku.

Pieniądze nie gwarantują szczęścia. Jednak, mając za sobą raczej skromny start w życiu, Tamara świetnie wiedziała, że jedzenie i ubranie nie spadają z nieba. Popatrzyła na niego ostro.

- To nie w porządku.
- Chyba już o tym mówiliśmy.

Taki zimny. Taki układny. Taki, cholera, działający na nerwy! Zerwała się z krzesła. Stała przy oknie, rozejrzała się. Jakaś rzeźba, chyba satyr, strzegła wejścia do ogrodu. Porządnego, nieskazitelnie czystego. Jego utrzymanie musiało kosztować fortunę.

Kiedy dziecko się urodzi, godzin dnia nie przybędzie, zwłaszcza kiedy się zdecyduje odbudować swoją firmę. Na dokładkę brak partnerów oznaczał nie tylko spędzanie wielu godzin w pracy, ale i dłuższe pobyty dziecka w żłobku.

Małżeństwo z rozsądku... z Armandem De Luca... żadnego więcej wiązania końca z końcem... żadnej walki o przetrwanie. Do licha, co ona sobie myśli? Chciała kochać poślubionego mężczyznę, a nie mieć u niego dług. To wcale nie za wielkie oczekiwania, nawet jeśli Armand sprawił, że poczuła się... chwilowo uratowana.

Serce jej podskoczyło, gdy poczuła jego ciepłą dłoń na ramieniu. Nie odważyła się odwrócić. Już sam jego dotyk wytrącił ją z równowagi. Nie zaryzykuje jeszcze większego zmieszania, spoglądając mu w oczy.

- Starannie rozważ za i przeciw. Weź pod uwagę szanse, jakie będziesz mogła zapewnić dziecku teraz i w przyszłości - powiedział cicho, tuż przy jej uchu.

Przyszłość pełna możliwości, bezpieczeństwa, nazwisko otwierające wiele drzwi. Wystarczyło tylko poślubić zupełnie obcego człowieka. Przygryzła wargę. Sformułowała pytanie, które dręczyło ją od chwili, gdy ten mężczyzna wkroczył w jej życie.

- Nie pomyśl, że mówię „tak”, bo wcale tak nie jest, ale... - W ustach zaschło jej na wiór. - Gdybyśmy mieli się pobrać...

- Czy w grę wchodziłyby również obowiązki małżeńskie? - dokończył.

Gdy jego pytanie dotarło do niej, poczuła zimny pot na czole. Odsunęła się, a on zabrał rękę. Całe szczęście. Inaczej nie mogłaby się skupić. Zebrała się w sobie.

- To takie staroświeckie wyrażenie.

- Małżeństwo to staroświecka i bardzo poważna instytucja. - Choć nie dotknął jej ponownie, wyczuwała w nim przekonanie o słuszności tych słów. - Tworzenie i utrzymywanie fizycznej więzi jest istotną częścią związku.

- Fizycznej. - Typowa męska reakcja. - A co z więzią emocjonalną?

- Czy potrafisz wymyślić lepszy sposób pocucia czyjejś bliskości od seksualnej zażyłości? Jeśli się zgodzisz za mnie wyjść, Tamaro, zgodzisz się również dzielić ze mną łóżko, i z nikim innym.

- Powiedziałeś to, jakbyś wydawał rozkaz.

Lecz przechodzące ją ciarki nie były jedynie skutkiem oburzenia. Jakaś jej część wzdrygała się na myśl o kochaniu się z prawie nieznanym mężczyzną. Inna, bardziej ukryta, była ciekawa smaku jego pocałunków, szorstkości wieczornego zarostu, gdyby ją obejmował, pieścił... Nawet jeśli nie należało tak myśleć, jeśli było to w jakiś sposób brakiem szacunku dla pamięci Marca, to, Boże dopomóż, nie potrafiła się temu oprzeć.

- Obawiasz się skonsumowania naszego małżeństwa?

W wyobraźni zobaczyła, jak ją całuje, jak jego silne, nagie ciało bierze ją w posiadanie. Poczowała żar rozlewający się po brzuchu. Zamknęła oczy. Zebrał się w sobie, minęła go, podchodząc do stołu.

- Masz do czynienia z kobietą, która wierzy w baśnie. Lepiej nie przeciągać struny, panie De Luca.

- Armandzie.

Delikatny uśmiech jeszcze podkreślił uwodzicielską linię jego ust. Odwróciła wzrok. Wystarczy tej rozmowy. Podeszła do trzymetrowego łuku otwierającego się na szerokie schody i prowadzącego w kierunku przydzielonego jej wcześniej pokoju, oazy prywatności.

- Kiedy przyszedłeś do mojego mieszkania, rozmawiałam przez telefon.

Chciałabym oddzwonić z aparatu w moim pokoju.

- Przyjaciel?

- Melanie Harris. Przyjaciółka, także Marca.

- Wie o dziecku?

Jedynie dwie osoby znające prawdę były w tym pokoju.

- Nikt oprócz ciebie nie wie o tamtej nocy - rzuciła przez ramię.

- Bardzo dobrze.

Skrzywiła się. Może nie dosłyszała. Zatrzymała się i odwróciła powoli. Oczy miał niesamowicie ciemne, jakby coś się w nich kryło. Zadrżała niespokojnie.

- Co miałeś na myśli, mówiąc „bardzo dobrze”?

- Testament mówi o prawowitym dziedzicu.

Dopiero po chwili dotarło do niej głębsze znaczenie jego słów.

- Chcesz, by ludzie sądzili, że to dziecko jest... - szukała medycznego określenia - biologicznie i moje, i twoje?

- Prawo traktuje wszystkie dzieci urodzone po zawarciu małżeństwa jako pochodzące z prawego łóża... o ile nie zostanie podważone ojcostwo. Jeśli nikt nic nie wie, po prostu wszystko jest bardziej... - zastanowił się chwilę - dogodne.

Mówił zupełnie, jakby ojcostwo nie miało żadnej emocjonalnej wartości.

- Nie chcesz, by ktokolwiek wiedział o rzeczywistym ojcu, żeby mieć dodatkową pewność, że warunki testamentu zostaną dotrzymane?

Nigdy nie mogłaby zrobić tego Marcowi. Dziecko zasługiwało na to, by znać imię ojca. Tamara żałowała, że los jej tego poskąpił.

- Przeciwnie, przyznawanie się do korzeni jest godne szacunku, niezależnie od okoliczności. Kiedy dziecko odpowiednio podrośnie, wszystko się załatwi i będzie znało swoje pochodzenie.

Napięcie nieco w niej zelżało. De Luca senior uzależnił przejęcie kontroli nad swoim imperium przez Armanda od posiadania przezeń legalnego dziedzica. Rozwiązanie wydawało się oczywiste.

- Czy bratanek albo bratanica nie może być prawowitym dziedzicem? A dziecko adoptowane?

- Nie w przypadku tego testamentu. Klauzula jest bardzo dokładna. - Armand zerknął na nią z niepokojem. - Porozmawiamy o tym jutro. Wyglądasz na zmęczoną.

Nie czuła się zmęczona, tylko kompletnie wyczerpana.

- Z przyjemnością się położę - przyznała, świadoma jego ręki obejmującej ją w pasie. Poprowadził ją przez salon.

- Boli cię ręka?

- Wszystko w porządku.

- Nie jestem pewien, czy wystarczająco dobrze założyłem opatrunek. Jutro cię zawiozę do lekarza. Nie tylko w sprawie ręki.

- Opatrunek jest bardzo dobry. - Postarał się, żeby założyć bandaż ani nie za luźno, ani nie za ciasno.

- A jeśli chodzi ci o dziecko, to mam swojego lekarza.

Nie ginekologa, tylko internistę, któremu ufała. Na położnika przyjdzie czas później.

- Porozmawiamy o tym jutro. - Z jego tonu wynikało, że już podjął decyzję. Ku jej zaskoczeniu ciekawość przeważała nad irytacją.

- Zawsze jesteś taki apodyktyczny?

- Choroba zawodowa. - Doszli do schodów i zaczęli schodzić. - Po wizycie u lekarza pojedziemy do miasta wybrać zaproszenia na ślub.

W jej głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Jeszcze się na nic nie zgodziła! Rzuciła mu rozdrażnione spojrzenie. Błękitne oczy wręcz się uśmiechały.

- Lubię być przygotowany.

ROZDZIAŁ TRZECI

W śródmiejskim, luksusowym biurze De Luca Enterprises Armand wstał z fotela o wysokim oparciu. Sekretarka nie odzywała się od dawna, wiedząc, że siedzi zakopany po uszy w obliczeniach związanych z ostatnią podróżą do Pekinu i nie należy mu przeszkadzać. Od każdej jednak reguły są wyjątki.

Gdy drzwi się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna znany Armandowi przez całe życie, wyciągnął na powitanie dłoni.

- Matthew, już podejrzewałem, że postanowiłeś w ogóle nie wracać z wakacji.

Wysoki i szczupły, sześćdziesięcioletni Matthew wyglądał o dziesięć lat młodziej. Roześmiał się lekko.

- Wiesz, jak jestem związany z firmą, ale ostatnie sześć tygodni uświadomiło mi, że trzy lata bez urlopu to za dużo. Nie wiesz, co to smak życia, jeśli nie spróbujesz tradycyjnych Hawajów i Hamoa Beach. Absolutny relaks.

Był opalony, tryskał zdrowiem, ale było w nim coś jeszcze. Przyczynę Armand spostrzegł na lewej dłoni gościa. Złotą obrączkę. Zatkaną go z zaskoczenia, a potem się zaśmiał.

- Mój Boże, ożeniłeś się!

Matthew, z miną kocura, który się dorwał do śmietanki, podszedł do kanapy.

- Spotkaliśmy się trzy miesiące temu na pożegnaniu odchodzącego na emeryturę kolegi z uczelni. - Z zadowoloną miną usiadł. - Myślałem, że już jestem za stary na takie przygody. Evie zmieniła wszystko.

Zaskoczenie Armanda przekroczyło wszelkie granice, ale jeśli Matthew był szczęśliwy, to on też. Zatarł dłonie i ruszył do barku.

- Trzeba to oblać!

Gdy wrócił z trunkami, napili się.

- Vintage Macallan?

- Specjalna whisky na specjalne okazje.

- Nigdy nie przypuszczałem, że się ożenię przed tobą.
- Byłeś zdeklarowanym kawalerem. Ona musi być wyjątkowa.
- Jest. - Przez dłuższą chwilę Matthew wpatrywał się w brunatny płyn. -

Przypuszczam, że w twoim życiu uczuciowym nadal panuje stagnacja?

Od śmierci ojca Armanda Matthew regularnie pytał o potencjalne narzeczone, potem przypominał o testamencie, w końcu - jakże przewidywalnie - zapewniał, że nie ma się czym martwić. Firma jest w dobrych rękach... jego rękach. Był doświadczonym prawnikiem, lojalnym członkiem zarządu i oddanym przyjacielem rodziny. Nieważne, czy spadkobierca pojawi się trochę za późno, Matthew zadba o to, by Armand otrzymał to, na co zasługuje. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dziś po raz ostatni miał okazję zadać to pytanie.

- Właściwie - zaczął Armand, pewien swego - zamierzałem wkrótce ogłosić datę mojego ślubu.

Pomimo zapewnień przyjaciela, wolał wypełnić wszelkie zobowiązania prawne. Zaskoczony Matthew spowaźniał.

- Cóż, czy znam tę szczęściarę?
- Nie pochodzi z naszych sfer.
- Czyli zwykła dziewczyna?

Armand skinął głową.

- Jak twoja matka.

Gardło mu się zacisnęło. Zdusił to uczucie i odwrócił się do biurka. Nie chciał porównań. Sześć lat temu poprosił o rękę dziewczynę pochodzącą z nieskazitelnego rodu i jak się to skończyło? Christine Sawyer chodziło wyłącznie o pieniądze. Tyle, jeśli chodzi o błękitną krew. I o prawdziwą miłość...

- Wybacz. To było niepotrzebne - usłyszał przeproszający głos Matthew. - Jestem pewien, że będzie wspaniała. Jak się nazywa?

- Tamara Kendle.

Matthew pociągnął łyceczek i uśmiechnął się.

- Na pewno już się nie możesz doczekać założenia rodziny.
- Oczywiście.

W ciągu minionego tygodnia Tamara z rana wyglądała mizernie, z powodu mdłości, ale wieczorem wręcz kwitła. Choć nie zanosilo się na to, żeby się zamierzała zrobić miła. Wciąż stanowiła wyzwanie, dokuczając mu i błyskając tymi swoimi zielonymi oczami. Lecz wczoraj ani razu nie wspomniała o wyprowadzeniu się. Wyraźny postęp.

Wzrok Armanda padł na dokument, nad którym pracował, i szybko sprawdził godzinę. Po piątej. Matthew będzie chciał wrócić do żony, ale krótki rzut oka na papiery na pewno się przyda. Wziął plik z biurka.

- Masz chwilkę?
- Chiny? - Matthew wstał i podszedł do fotela Armanda.

Ten otworzył teczkę i przerzucił papiery.

- Konsultant miał rację. Co najmniej dwie lokalizacje by nam odpowiadały. - Pokazał na mapie Szanghaj i Hang Zhou. - Oczywiście utrzymamy zakłady w Australii, ale inwestując, zwiększymy produkcję i nieźle zarobimy, nawet biorąc pod uwagę transport. Biznesmeni, z którymi rozmawiałem, są bardzo bystrzy.

Armand opadł na oparcie, zakładając ręce za głowę. Nowatorskie strategie rozwojowe nie tylko zmuszały go do ciągłej uwagi, ale były też niezbędne. Walka o pozycję De Luca Enterprises w dzisiejszym konkurencyjnym świecie korporacji oznaczała konieczność bezustannego modyfikowania biznesu. Bez nowych pomysłów DLE zaczęłaby szwankować albo, co gorsza, naraziłaby się na wykupienie. Nie był zwolennikiem siłowych rozwiązań, ale walczyłby do ostatniej kropli krwi, zanim pozwoliłby komukolwiek przejąć coś, co było niemal jego duszą.

Skupił się na dokumentach.

- Nadal uważam, że powinniśmy przeznaczyć około osiemnastu do dwudziestu procent pakietu podstawowego na koszty operacji.

Odczekał chwilę, gdy Matthew sprawdzał wyliczenia. Na wpół świadomie zauważył przy tym u przyjaciela nowy krawat. Uśmiechnął się. Ta kobieta naprawdę przyniosła zmiany.

Matthew zamknął teczkę i wsunął ją pod ramię.

- Pozwól, że przejrzę dokumenty z negocjacji. Trzeba być ostrożnym, mając do czynienia z innymi kulturami. Nie chciałbym kogoś zrazić wskutek ignorancji - zachichotał - albo arogancji.

Doceniając radę, Armand uśmiechnął się i skinął głową.

- Wszystko jest przygotowane. Chciałbym postawić ten wniosek jak najszybciej, jeszcze przed półrocznym sprawozdaniem finansowym i ogłoszeniem dywidend.

Wstępna ocena wskazywała na solidne zyski, lecz ostateczne liczby będą dostępne za jakieś trzy miesiące. Nie chciał dopuścić, by konserwatywna część rady nadzorczej skupiła się na zysku, a potem zawetowała jego plany rozwojowe jako niekonieczne czy nazbyt ryzykowne.

Z jakiegoś powodu miał pewne wątpliwości, ale odsunął je od siebie. Nie ma żadnych powodów, by sądzić, że przyjaciel go nie poprze.

Kiedy odprowadzał Matthew do drzwi, przypomniał sobie wcześniejsze wieści.

- Musimy się wkrótce spotkać przy obiedzie we czworo. - Kiedy załatwi wszystko z Tamarą.

Matthew klepnął go w plecy.

- Powiem Evie.

Pół godziny później Armand był w domu. Poluzowując krawat i odpinając guzik kołnierzyka, rzucił głośno powitanie, po czym zaczął zaglądać do kolejnych pomieszczeń. Dziś zamierzał zabrać swoją nową lokatorkę do nowej restauracji, z której roztaczał się wyjątkowo piękny nocny widok i gdzie serwowano najlepszy czekoladowy mus truflowy w całym Sydney. Gdzie jest Tamara? Mistrz też zniknął.

Zastanowił się i ruszył do jej ulubionego pokoju. Rozejrzał się po bibliotece. Tamara mówiła, że lubi zapach książek. Zacisnął zęby i wyszedł.

Nie odeszłaby bez słowa. Wiedziała, że natychmiast by ją odszukał. Poza tym w ciągu minionego tygodnia jej opór zmalał. Zauważył subtelne ustępstwa, takie jak coraz częstsze towarzyszenie mu wieczorami. Z podwiniętymi nogami czytała grubą powieść albo podręcznik, podczas gdy on, zagłębiany w obszernym fotelu, przeliczał oferty.

Spostrzegł też, że częściej rozmawiają z Tamarą na różne tematy. Zaczęły one dotyczyć nie tylko ich sytuacji, ale bardziej zwyczajnych rzeczy. Nie przepadał za komediami romantycznymi, ale cieszył go jej śmiech, gdy oglądali jakąś najnowszą produkcję.

Radował go też sposób, w jaki jej ciało układało się na perkalowej kanapie... gładka skóra o cynamonowym odcieniu, długie włosy, lśniące jak czarny jedwab. Kiedy zatapiała się w lekturze, lekko rozchyłała pełne wargi, a pierś unosiła jej się mocniej w szybszym oddechu.

Z rękami opartymi na biodrach rozejrzał się nieprzytomnie po salonie. Gdzie ona, u diabła, jest?

Znalazł ją w basenie. Pływała w niebieskim, lśniącym kostiumie. Ręka najwyraźniej jej już nie dokuczała. Płynne ruchy, welon z włosów... Wszystko w niej emanowało wdziękiem, precyzją i pięknem.

I serce, i lędźwie zareagowały na ten widok.

Jasne było, że związał się z tą kobietą z powodu dziecka. Marc mógł ignorować nazwisko rodowe i dziedzictwo, nawet gdy znikły dzielące ich bariery, ale jego dziecko będzie wzrastać, wiedząc, że jest De Luca. Jak Tamara mądrze zauważyła, rodzina jest bardzo ważna, bardziej niż cokolwiek innego - i teraz już nic nie stało na przeszkodzie, by umocnić tę moralną podstawę i zastosować słowa w praktyce.

Tamara dopłynęła do brzegu i szybkim ruchem wydostała się na brzeg basenu. Usiadła, unosząc jedno kolano. Wycisnęła wodę z bujnych włosów i potrząsnęła głową. Krople rozprysły się na wszystkie strony.

Czując przyspieszone bicie serca i pot zbierający się na czole, Armand zapatrzył się na te długie nogi i jędrny biust, które nasuwały mu same grzeszne myśli.

Popatrzyła na niego. Wstała i odgarnęła pasma mokrych włosów z twarzy, wyraźnie zaskoczona.

- Nie spodziewałam się, że tak wcześnie wrócisz.

- Moje ostatnie spotkanie zostało odwołane. - Nie przyznał się, że na jego prośbę.

- I nic ważnego cię nie zatrzymało? Sądziłam, że jesteś pracoholikiem.

- Jest piątek - usprawiedliwił się, nieco żałośnie.

- No cóż - uśmiechnęła się kpiąco - w takim razie...

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, po czym podeszła zdecydowanie do leżaka. Gdy wzięła z jego oparcia biały ręcznik i zaczęła osuszać ramiona, poczuł jednocześnie oczekiwanie i żal. Nie chciał, by się wytarła. Pragnął poczuć ją wtuloną w niego, mokrą, lubieżną.

Wyobrażał sobie jak bardzo, za każdym razem, gdy się znajdą na wyciągnięcie ręki, będzie w niej rosła ciekawość, jak będzie mu rzucała spod rzęs dociekliwe spojrzenia, jak wręcz samo powietrze pomiędzy nimi będzie nasycone żarem.

Jej silna potrzeba iluzji miłości w niczym nie przeszkadzała. Właściwie to mogła nawet zadziałać na jego korzyść.

Podchodząc, wypiął spinki z mankietów.

- Podjęłaś już decyzję co do moich oświadczeń? Jesteś tu już od tygodnia.

Pobladła wyraźnie, ale się roześmiała.

- Prawda. Cały tydzień.

- Wiesz, jak czas nas goni.

- Twoje urodziny - odparła, osuszając szyję - są za kilka miesięcy.
- Niezbędne będą czasochłonne przygotowania.
- To poważna decyzja - wykrztusiła, z połową twarzy ukrytą w ręczniku.
- To bardzo ważna decyzja, ale słuszna ze względu na dziecko. I na ciebie też,

Tamaro.

Odwróciła się od niego w milczeniu. Lepiej spróbować innej drogi. Wcisnęła dłoń do kieszeni i podszedł bliżej.

- Jak nauka?

Zawahała się, pochylając się, by osuszyć piękną kostkę.

- Jakoś idzie.

- Jeśli potrzebna ci pomoc, liczby to mój drugi ojczysty język - zaproponował, choć pomyślał, że przecież po ślubie nie będzie jej ten dyplom do niczego potrzebny.

Owinęła się w ręcznik, zawijając go pod pachami. Czas wytoczyć ciężkie działa. Rezygnacja nie leżała w jego naturze, a jeśli uda mu się ją trochę ułagodzić, to może przyzna, że też go pragnie.

Odezwał się, wpatrując się w jej usta:

- Powiedz, że przynajmniej się zastanawiasz.

Poprawiając ręcznik, uśmiechnęła się niepewnie.

- Och, nauka idzie mi całkiem dobrze.

- Nie chodzi mi o to - wyjął ręce z kieszeni - tylko o oświadczyzny.

- Możemy porozmawiać o tym później?

Mowy nie ma.

- Powiedz.

Rzuciła mu udrećzone spojrzenie, potrząsnęła głową i zagryzła wargę. W końcu, po pełnej napięcia chwili, wzruszyła ramionami.

- A co tam. Dobrze. Tak, zastanawiam się nad tym.

- Czy mogę jakoś wzmocnić swoje szanse?

Kropla wody spadła ze złotego krzyżyka prosto w rowek między jej piersiami.

- Dach nad głową i szafa pełna ciuchów, których pozazdrościłyby mi gwiazdki Hollywood, w zupełności na razie wystarczą.

Po obejrzeniu jej kilku tanich strojów przekazał to zadanie swojej asystentce. Dwadzieścia cztery godziny później jedna z czołowych konsultantek mody dostarczyła mu do domu całą stertę strojów. Wymiary, styl i dobór barw były perfekcyjne. Trzy dni później Tamara przestała protestować.

- Wkrótce będzie ci potrzebna nowa suknia - zamruczał uwodzicielsko. -
Ślubna.

- Zaczekaj, jeszcze nie podjęłam decyzji.

W tym momencie emocje, rosnące z dnia na dzień, wzięły górę.

- No to ci w tym pomogę.

Jedną ręką przyciągnął ją do siebie. Westchnęła, czując napięcie pomiędzy nimi. Rozkoszując się jej przytulonym ciałem, pocałował ją mocno. Szarpnęła się. Usiłowała uwolnić swoje drobne pięści, zaciśnięte na gorsie jego koszuli. Jednak on, trzymając dłoń na jej biodrach, a drugą przytrzymując ją za głowę, nie przerywał pocałunku. Wiedział, co robi. Jeszcze sekunda, dwie...

Pogłębił pocałunek. Jej słabnący opór zanikł. Poczul zapraszającą mieszaninę woni jej ciała i narastającego pożądania. W końcu całkiem uległa.

Kiedy westchnęła, jego przyjemność zmieniła się w fascynację. Pogłaskał jej kark. Poddała się jeszcze bardziej.

Czas stanął w miejscu. W końcu powoli odsunęli się od siebie. Jego zmysły zaczęły rejestrować otoczenie i niechętnie otworzył oczy. Jej pozostały zamknięte. Armand czuł, jak wrze w nim fizyczne pragnienie.

- Tamaro...

Otworzyła rozmarzone oczy. Wydawała się rozdarta.

- Wciąż się zastanawiam.

- Może niepotrzebnie sama utrudniasz sobie podjęcie tej decyzji. - Z jej oczu znikły już ostatnie ślady namiętności i zaczęła się wysuwać z jego objęć, ale przewidział ten ruch i nie puścił jej. Ich oczy znów się spotkały: jej gniewne, jego łagodne i pewne siebie.

- Nie jestem wrogiem, Tamaro. - Przypomniał mu się poprzedni ciąg myśli i zmienił kierunek wypowiedzi. - Wszystkie baśnie zaczynają się od konfliktu. Na przykład „Piękna i Bestia”.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Ty nie wierzysz w bajki.

- Może do uwierzenia w nie potrzebowałem tylko pomocy kogoś wyjątkowego.

Zagłuszył w sobie wyrzuty sumienia spowodowane tak bezwstydnym łgarstwem i skupił się na przyszłości, na jej nagle zmienionym wyrazie twarzy - pełnym namysłu i nadziei. Lecz skuteczne uwiedzenie wymagało wielu narzędzi, a jednym z nich był czas. Oznaczało to, że nagroda pojawi się później.

- Wieczorem wychodzimy - oznajmił, odwracając się na pięcie. - Ubierz się elegancko.

Nie wspomniał o pozostawieniu rozpuszczonych włosów. Na szczęście taką fryzurę najczęściej nosiła. Jej odpowiedź była niejednoznaczna.

- Jestem zmęczona.

Jednym płynnym ruchem rozwiązał krawat i wyciągnął go spod kołnierzyka, patrząc na nią znacząco.

- Zawsze możemy zostać w domu.

Uniosła ramiona, owijając się mocniej ręcznikiem.

- W porządku, możemy iść.

- Powiedzmy o siódmej. Nie wiem jak ty - zmierzył wzrokiem jej ciało - ale ja umieram z głodu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tamara nie lubiła niespodzianek. Woląca przyszłość przewidywalną, pozwalającą na staranne zaplanowanie działań. Nie ciągnęło jej do szalonych przygód. Aż tu znienacka Armand De Luca pojawił się w jej życiu.

Od kilku dni traktował ją jak księżniczkę. Zabierał na kolacje, inicjował ciekawe rozmowy, wciąż znajdował preteksty, by jej dotknąć - muśnięcie policzka, niby bezwiedne objęcie w pasie. Wczoraj wieczorem, w trakcie tańca po przepysznym posiłku w jednej z najszykowniejszych restauracji w Sydney, znów skradł jej pocałunek. Rozsądek kazał jej się opierać, ale ciało wołało o więcej.

Dzisiejszego grudniowego poranka, gdy znienacka zaproponował wypad do największego centrum handlowego w Sydney, Tamara zareagowała ostrożnością. Błysk w jego oku powiedział jej, że on coś knuje. Teraz, gdy torował sobie drogę w tłumie klientów, zastanawiała się, czy w jego planach są jubilerzy i pierścionki z brylantami.

Obejrzał się i wziął ją za rękę. Od jego uśmiechu i uwodzicielskiego czaru roztopiła się wewnątrz. Burza uczuć musiała zmienić wyraz jej twarzy, bo za-niepokoił się wyraźnie.

- Powinnaś odpocząć.

Bez przerwy się martwił o jej zdrowie, co ją bawiło, ujmowało, ale najbardziej złościło.

- Czuję się znakomicie.

Żadnych porannych mdłości, po raz pierwszy od bardzo dawna czuła się pełna energii i radosna. Ostatnie dwa tygodnie życia pod dachem Armanda zmieniły wszystko. Nie potrafiła nie czuć za to wdzięczności. Tak samo nie umiała się oprzeć jego unikatowemu, pełnemu spokojowi czarowi ani niemal dotykalnemu fizycznemu pociągowi, jaki do siebie odczuwali.

Poznanie, nawet w skromnym zakresie, mężczyzny kryjącego się za słynnym nazwiskiem zdecydowanie zmieniło jej uczucia.

Zaczęło jej na nim zależeć.

Może to hormony popychały ją do budowania związku, ale wcale się nie dziwiła przemianie swych uczuć. Chciałaby zobaczyć kobietę zdolną się oprzeć oczom Armanda, za którymi stała jeszcze jego przyciągająca uwagę, dominująca osobowość. Jednak choć serce jej podpowiadało „zgódź się, powiedz tak”, głowa wciąż protestowała.

Armand De Luca był świetnym taktykiem i bystrym biznesmenem. Musiał przypieczętować ważną transakcję, a ona była mu do tego potrzebna. Fakt, że zaczęło jej na nim zależeć, wcale nie oznaczał, że i ona potrzebuje jego. Wzmianki o bajkach... ten wczorajszy pocałunek, miękkie spojrzenia... na pewno były to tylko środki wiodące do celu. Nie oszukiwała się, że jest w tym cokolwiek więcej.

Zerknął na platynowy zegarek i zeszywniał. Uniosła wzrok, a serce zabiło jej niespokojnie na widok grymasu na jego twarzy.

- Coś się stało?

- Tylko przebiegam w myślach listę spraw, które będą poruszane na zebraniu dziś po południu.

- Przecież jest niedziela!

Ugryzła się w język, zanim jeszcze skończyła wypowiadać tę uwagę. Mężczyźni pokroju Armanda uwielbiali pracę, nie ona ich. Zawsze podziwiała szacunek dla pracy, dziś jednak wolałaby, żeby się nie spieszył. Wczoraj pracował do późna w nocy. Dopiero o jedenastej zrezygnowała z czekania na niego i poszła do łóżka. Mistrz też czuł się opuszczony, więc dotrzymał jej towarzystwa.

- Zwołałem zebranie zarządu - oznajmił Armand. - Ponieważ jest dość niespodziewane, dzisiejszy dzień najbardziej pasował wszystkim zainteresowanym.

- Cóż jest takiego pilnego?

To dziwne. Kilka miesięcy temu Tamara skrzywiłaby się, słysząc takie pytanie; wszystko, co było związane z jej firmą, wydawało jej się wyjątkowo pilne. Teraz, choć była zdecydowana odbudować swój interes, tamte dni rozkwitu Idealnych Imprez wydawały jej się zaskakująco odległe. Co, do pewnego stopnia, przypominało jej też uczucia do Marca. Nigdy nie zapomni swego przyjaciela, ale ostrze bólu już uległo stopnieniu. Melanie i Kristin też chyba zaczynały się godzić z nieuniknionym, sądząc po ich coraz bardziej ogólnikowych telefonach. Właśnie tego chciałby od nich Marc... by wspominać go z czułością i żyć dalej.

Armand poprowadził ją przejściem pomiędzy regałami zastawionymi mnóstwem kuchennych przyborów.

- Zebranie dotyczy mojej propozycji rozwoju działalności za oceanem. Rozmawialiśmy o tym któregoś wieczoru.

Pamiętała. Oczy mu lśniły radośnie, gdy wyjaśniał jej konieczność bezustannych modyfikacji planów strategicznych pozwalających utrzymać De Luca Enterprises w światowej czołówce. Czasami dziwiła się, że w ogóle mu się udaje spędzić choć trochę czasu w domu. Jak to będzie wyglądało po narodzinach dziecka?

Oczywiście jego godziny pracy będą miały jakiegokolwiek znaczenie, jeśli przyjmie jego oświadczenia. Wciąż jeszcze nie podjęła decyzji.

- Nie spodziewam się dzisiejszego popołudnia żadnych kłopotów. Wystarczy, że zaakceptują moją propozycję i wszyscy będą się mogli rozejść do domów.

- Czy Matthew Mohill też tam będzie? - Zapamiętała to nazwisko. Przyjaciel Dantego, człowiek, któremu ojciec Armanda powierzył zachowanie równowagi udziałów w firmie.

- Matthew to szanowany członek zarządu - rzekł Armand, skinąwszy głową. - Zna firmę od podszewki, poza tym wyjątkowo lojalnie mnie popiera. Mógłby oddać głos przez pełnomocnika, ale nawet przez myśl by mi nie przeszło zwoływać takie zebranie bez niego.

Jednak coś w minie Armanda powiedziało Tamarze, że wcale nie jest taki pewien tego, co mówi. Zatrzymał się i ruchem podbródka wskazał Mikołaja, pohukującego gromko „ho-ho-ho!”.

- Skoro już tu jesteśmy, czy miałabyś ochotę poprosić o coś tego brodatego dżentelmena?

- To może zabrzmieć banalnie, ale jedyne, czego naprawdę pragnę, to zdrowego dziecka.

- W takim razie ja wypowiem swoje życzenie.

- A byłeś grzecznym chłopcem? - zażartowała.

- Aż do bólu.

Kiedy patrzył na nią w ten sposób, jakby była jego ulubionym deserem, trudno jej było zachować rozsądek, a co dopiero prowadzić rozumną konwersację.

Skinęła głową.

- Dobrze. Lecz ponieważ jesteś już dość duży, żeby zasypiać bez nocnej lampki, masz prawo tylko do jednego życzenia.

- Chciałbym już nigdy nie musieć być greczny.

Przemięte ciepło rozlało jej się po brzuchu, a serce zabiło jak oszalałe.

- Święty Mikołaj nie byłby zachwycony takim życzeniem - wydusiła z trudem przez ściśnięte gardło.

- To nie on się tu liczy.

Zadygotała przekonana, że Armand za chwilę wplecie palce w jej włosy i skradnie pocałunek, który wbrew sobie bardzo pragnęła mu dać.

- Powinieneś być ostrożniejszy - zamruczała. - Pomocnicy Świętego Mikołaja są wszędzie.

- Dodam jeszcze, że jedno życzenie mnie nie satysfakcjonuje.

Oslabła z napięcia oparła się plecami o kolumnę.

- A jeśli będziesz musiał poprzestać na nim?

- Chyba raczej okażę się chciwy.

- Jest takie powiedzonko - rzuciła. - Może masz wilcze oczy?

- Och, wcale nie oczy - uśmiechnął się.

Żar w niej narastał. Wszystko się rozpląnęło w niebycie, a Armand oparł się o kolumnę nad jej głową i pochylił tak, że niemal jej dotykał.

- Chyba już nie mówimy o prezentach pod choinkę...

- Oczywiście. Wigilia jest za tydzień. - Najwyraźniej nie obchodziło go, że znajdują się w miejscu publicznym i że ludzie zatrzymują się z uśmiechem albo chichoczą. Tamara czuła, że w innym czasie, w towarzystwie kogoś innego, czułaby się zakłopotana, ale Armand miał w sobie coś, co powodowało, że zacierały się granice między tym, co wypada, a co nie. Czuła tylko, że przyjemność przebywania z obdarzonym tak silną wolą mężczyzną przeważa nad wszelkim poczuciem winy z powodu łamania norm.

- Powinniśmy kontynuować zakupy czy zwabić jeszcze większy tłum?

- Coś mi się zdaje, że nie potrafiłbyś przeliterować słowa „greczny”.

- Och, mylisz się. Zaczyna się na „T”, a kończy na tobie.

Skubnął wargami jej ucho. Przeszły ją ciarki. Najwyraźniej zadowolony z jej reakcji cofnął się i ruszył w głąb sklepu. Musiała się uśmiechnąć. Był wyjątkowo dobry w tym, co robił.

Kiedy się zatrzymali przed ciągiem welwetowych kotar, jej oddech już się uspokoił. Armand przyciągnął ją bliżej. W głębi serca nie chciała już walczyć z fizycznym pociąganiem do niego i zaczęła się obawiać, że on zdaje sobie z tego sprawę.

Pojawiła się elegancka sprzedawczyni z przyklejonym uśmiechem.

- Panie De Luca, wszystko przygotowane, zgodnie z pańskim życzeniem.

Tamara popatrzyła na niego oskarżycielsko.

- Wiedziałam, że coś knujesz.

- Mała niespodzianka.

- Co mianowicie? - spytała, zaciekawiona.

Najwyraźniej nie chodziło o pierścionek zaręczynowy. Miała nadzieję, że nie o kolejne stroje. Już mogła przebierać w mnóstwie markowych ubrań wiszących w ogromnej garderobie. Dziś miała na sobie jedno z nich: pomarańczową letnią sukienkę, powiewną i leciutką jak mgiełka. Czuła się w niej jak księżniczka. Choć z takim mężczyzną u boku nawet w starym worku czułaby się królewsko.

Armand pociągnął ich jeszcze o krok w stronę zasłon.

- Jeśli coś ci nie będzie pasowało, mów bez wahania.

Tamara aż się skręcała z ciekawości. Mała dziewczynka w niej pragnęła jak najszybciej odsłonić tajemnicę, zaś ostrożna, dorosła kobieta wcale nie była pewna, czy w ogóle chce się dowiedzieć. Wygrał niepokój.

- Nie lubię niespodzianek.

- Ta ci się spodoba.

W tym momencie kotary się odsunęły i serce Tamary zaczęło wyprawiać dziwne harce. Zasłoniła usta dłonią, ale zbyt późno, by stłumić okrzyk zachwytu.

Za każdą z zasłon był zaaranżowany pokój dziecienny. Pierwszy w palisandrze na wysoki połysk. Drugi fantastyczny, pełen białego lakieru i siatek. W trzecim znajome postaci z kreskówek wyskakiwały ze ścian, koców i pościeli. Czwarty w stylu retro, stonowane fiolety i kremowe koronki. Piąty lśniaco współczesny, w ostrych różach i neonowych błękitach. Za to szósty...

Jak zaczarowana patrzyła na pokrytą angielskim haftem pościel w łóżeczku, ogromny domek dla lalek w kącie, kolejkę krążącą w drugim. Zobaczyła swoje dziecko śpiące w białym, trzciniowym kojcu, wręcz usłyszała kołysankę, którą będzie śpiewać, kołysząc się w fotelu na biegunach.

- To jest...

- Za dużo?

- Nie, idealne!

Armand przyjrzał się wystawie i skinął głową.

- Też tak sędzę. Idealne.

Jak przyciągana magiczną siłą Tamara podeszła do łóżeczka w ostatniej wystawie. Poglaskała gładki materiał, a potem zagryzła wargę, bo opadły ją wątpliwości.

Lecz chyba nawet bezlitosny magnat finansowy nie manipulowałby uczuciami kobiety aż tak mocno jedynie dla osiągnięcia korzyści. Zerknęła na jego profil - wręcz parował satysfakcją. Nikt nie był aż tak dobrym aktorem. A może jednak...?

Wielokrotnie powtarzał, że chce zapewnić dziecku oboje rodziców, normalne życie rodzinne. Na pewno każda kochająca matka pragnie tego samego. Armand insynuował, że mógłby oprzeć małżeństwo na czymś więcej niż tylko względy praktyczne.

„Może potrzebny mi ktoś tak wyjątkowy, by mi pomógł uwierzyć?”.

Gdyby tylko mogła być pewna szczerości jego postępowania.

- Czy wszystko ci odpowiada? Może chcesz jeszcze czegoś?

Młoda sprzedawczyni przysunęła się bliżej.

- Mamy śliczne misie pluszowe, największe sięgają trzech metrów.

- Pani powiedziała, że mają misie.

Tamara zamknęła na chwilę oczy, żeby się odgrodzić od jego wpływu.

Musiała podjąć ważną decyzję, od której nie było odwrotu.

Godzinę później jechali wzdłuż wybrzeża klasycznym jaguarem Armanda. Dach był opuszczony. Tamara nie odważyła się nawet zerknąć na szybkościomierz. Mocno zaciskała dłoń na pokrytym skórą podłokietniku, a drugą przytrzymywała rozwiewane włosy.

Armand miał lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Wiatr hulał w jego ciemnych włosach. Mocno zaciśnięta szczęka i ślad uśmiechu zdradzały jego uwielbienie dla prędkości. Jechali zbyt szybko, by rozmawiać, ale Tamarze to nie przeszkadzało. Cieszyła się jak nigdy dotąd. Poznała nowy, ekscytujący sposób odpoczynku. Gaz do dechy, wszelkie opory rzucone na wiatr i atrakcyjny, bogaty

mężczyzna u boku. Upojny dreszcz sprawiał, że niemal zapominała o dziwaczności sytuacji, która ich ze sobą zetknęła.

Jaguar skręcił za grupę sosen i zatrzymał się na skraju urwiska. Niesamowity widok zaparł Tamarze dech w piersi. Bezkresny Pacyfik z tej odległości zdawał się nieruchomy, emanował jednak nagromadzoną energią, żył.

Armand zjechał z drogi, wysiadł i podał jej rękę, a potem z bagażnika wyciągnął kraciasty, czerwony koc. Rozłożył go na trawie i skinął na nią zapraszająco.

- Siądź tu ze mną.

Odetchnęła głęboko zapachem sosen i oceanu.

- Jesteśmy na odludziu. Mogę ci ufać? - zakpiła, na wpół serio.

- Boisz się, że cię rzucę z tego klifu - uśmiechał się seksownie - czy na koc?

Całe jej ciało zareagowało, aż się spociła. Walcząc z chęcią zasłonięcia płonących policzków, przytrzymała powiewającą spódnicę. Zrzuciła pantofle i usiadła na kocu. Wiatr szumiał im nad głowami.

Armand wyciągnął się wygodnie, opierając się na łokciu. Zerwał białą kulkę dmuchawca i obracał ją pomiędzy palcami. Zapatrzył się na błękitny przestwór.

- Kocham morze. Jego ogrom, samotność. - Odrzucił łodyżkę dmuchawca. - Powinniśmy wkrótce uruchomić moją łódź.

- Łódź czy statek? - spytała z uśmiechem.

- Piętnastometrowy jacht - odpowiedział poważnie. - Do tej pory raz do roku wymieniałem łódź na nową, ale ta... - Zapatrzył się na fale. - Cóż, ta jest inna. Pierwszą miałem zwykłą łódkę. Z przyjaciółmi wiosłowaliśmy w niej do utraty tchu.

- Brzmi to jak tortury, ale chyba nie różni się zbytnio od zastrzyku endorfin, jaki dostaje, przepływając basen któryś raz z rzędu.

Takie samo połączenie kontroli i wypoczynku. Będąc nastolatką, chodziła na publiczny basen i pływała, aż ręce i nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Stała za tym

prosta logika: im dłużej zużywała tam nadmiar energii, tym krócej musiała siedzieć w domu sama.

- Wciąż jeszcze wiosłujesz z przyjaciółmi?

- Dużo mniej, ale pozostajemy w kontakcie. Co kilka tygodni ktoś z nas urządza spotkanie.

- Czyli w swoich planach uwzględniasz czas na wypoczynek i oderwanie się od pracy?

- Dorastając w domu z człowiekiem, który się zatracił w papierach i zebraniach, czegoś się nauczyłem. Że czas na odpoczynek jest bardzo ważny dla zachowania równowagi, symetrii. Trzeba wciąż być skupionym, ale... - Zastanowił się chwilę. - Każdy, nawet największy na świecie człowiek czasem musi odpuścić.

Lekkie zawahanie, które wymknęło mu się spod kontroli, powiedziało jej, co jest ukryte pomiędzy wierszami.

- Twój ojciec - zaryzykowała - nigdy się nie pogodził z odejściem żony, prawda?

Wszystko, co wiedziała o De Luce seniorze, nie podobało jej się. Jego portret o stalowym spojrzeniu budził w niej dreszcz za każdym razem, gdy go mijała. Równocześnie jednak romantyczna strona jej duszy współczuła mu. Może Dante byłby mniej srogi i bezkompromisowy, gdyby jego życie rodzinne było szczęśliwe. Z żalu bardzo łatwo wyrastała gorycz.

- Ojciec kochał ją aż do śmierci. - Armand uśmiechnął się smutno. - Angela była piękną kobietą, ale i niezależnym duchem. Kiedy odeszła, ojciec nie potrafił jej przekonać do powrotu bez względu na to, jak bardzo się starał. Krzyczał często, że jej upór go zniszczy.

Zniszczy rodzinę, to chyba chciał powiedzieć. Angela nie tylko opuściła męża, ale z jakiegoś powodu zostawiła też starszego syna. Choć dzieciństwo Tamary było niepełne, nigdy nie doświadczyła poczucia opuszczenia, przynajmniej ze strony

matki. Podciągnęła kolana i objęła je obiema rękami. Im więcej się dowiadywała o Armandzie, tym bardziej ją intrygował.

- Jakie były okoliczności towarzyszące małżeństwu twoich rodziców?

- Okoliczności?

- Czy chodzili ze sobą długie lata? A może był to błyskawiczny romans? Czy brała ślub, będąc w ciąży?

Ani drgnął. Dopiero po chwili przesunął ręką nad dmuchawcami, jakby odprawiając jakiś magiczny rytuał.

- Dużo można mówić o braniu na siebie odpowiedzialności. Człowiek nie powinien zmieniać raz podjętych decyzji, bo pojawiają się wówczas ponure konsekwencje. Moja matka złamała tę zasadę.

- Przyjęła oświadczyzny twojego ojca, ale nie dotrzymała przysięgi małżeńskiej. To masz na myśli?

Skinął krótko głową.

Jasno dał jej do zrozumienia, że jeśli się pobiorą i im nie wyjdzie, nie dopuści do rozwodu. Co za ironia. Tamara nie mogłaby się pozbyć bogatego partnera, gdyby chciała, podczas gdy jej matka nie potrafiła utrzymać ani zapomnieć swojego.

Elaine Kendle wierzyła, że mężczyzna, którego kochała, pewnego dnia wróci i uwolni ją od harówki. Z każdymi urodzinami córki jej oderwanie od świata narastało. Byłoby im dużo lepiej, gdyby zainwestowała w siebie, ale szydziła z samego pomysłu powrotu do szkoły czy prób znalezienia lepszej pracy. Tamara przysięgła sobie, że nie powtórzy tych błędów, w tym największego - kochania mężczyzny, który nie zna nawet znaczenia słowa „partner”.

- Nie chcę rozmawiać o rodzicach, Tamaro - przerwał jej myśli. - Chcę pomówić o nas.

Kiedy jej dotknął, dreszcz przebiegł po jej ciele. Położył dłoń na jej policzku. Poddała się pieszczocie.

Przy Armandzie czuła się taka bezbronna, niepewna, a jednocześnie tak absolutnie bezpieczna.

- To zadziała, Tamaro. Jestem tego pewien.

- Nie znamy się nawet miesiąca.

- Obawiasz się, że nie będziemy do siebie pasować? Lubisz moje towarzystwo, moje pocałunki. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Ja też je lubię.

- Jeden czy dwa pocałunki nie wystarczą do zbudowania małżeństwa.

- To chyba zależy jakie pocałunki - zakpił, ale jego wzrok spoważniał. - Lecz masz rację, powinniśmy być pewni sukcesu.

Jednym płynnym ruchem chwycił ją za ramiona i położył na kocu obok siebie. Tamara zachłysnęła się, gdy ją przyciągnął do siebie.

Kiedy skubnął wargami jej ucho, kiedy poczuła jego męski zapach, w łędźwiach obudziło jej się niemal bolesne pragnienie. Niepewna co powiedzieć, czując tylko, że bardzo by chciała posunąć się dalej, lekko gładziła go po piersi.

Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia pocałował ją. Zmienił nieco pozycję, by wzmocnić pieśczętę. Poczuli się nieważka, nieobecna, jakby płynęła nad światem, nie dbając o nic. Nigdy nikt jej tak nie całował.

Gdy ją uwolnił, bezwstydnie utrzymała kontakt warg. Obrócił ją na plecy i przytrzymał jej ręce za nadgarstki nad głową. Pożądanie w niej wrzało.

- Pomóż mi uwierzyć, Tamaro. Powiedz, że za mnie wyjdiesz. Już nie mogę dłużej czekać.

Wyjął z kieszeni małe pudełeczko i pokazał jej przepiękny pierścionek ze wspaniałym rubinem - damską wersję, pasującą do pierścienia na jego palcu. Zaniemówiła.

- Te klejnoty mają długą historię - z dumą wyjaśnił Armand. - Mój prapradziad ze strony ojca zamówił je u jednego z najlepszych jubilerów we Florencji. Przechodziły potem z pokolenia na pokolenie. Według tradycji o

przyszłym szczęściu małżeńskim par z rodu De Luca decyduje reakcja kobiety, która otrzymuje ten pierścionek.

Wciąż oszołomiona próbowała się skupić na swoich emocjach. Mimo że próbowała szukać dziury w całym, to, co czuła, okazało się zupełnie jednoznaczne. Wszystko było w porządku. To przeznaczenie ich ze sobą zetknęło. Gorąco w jej żyłach, namiętność i przekonanie w jego głosie... to musi być początek.

Zbierając całą swoją odwagę, powoli skinęła głową.

- Tak.

Spojrzał jej głęboko w oczy, a po twarzy przemknął mu wyraz ulgi czy szczęścia. Wsunął jej pierścionek na palec i pocałował ją, długo, aż wszystkie myśli wywietrzały jej z głowy.

W końcu niechętnie się od niej oderwał.

- Musimy ustalić datę. Może za tydzień?

- W następną sobotę jest Wigilia.

- No to co.

Dygocząc jak w szoku, otoczyła ramionami jego szyję.

- Chcę mieć białą suknię.

- Będziesz pięknie wyglądać w bieli.

Przed oczami stanęła jej długa lista osób, które będą oczekiwać zaproszenia, i poczuła się przytłoczona.

- Czy wesele mogłoby być skromne?

Uśmiechnął się łobuzersko.

- Powiedzmy, malutkie.

- Śluby w kościele są takie piękne... - Odsunęła rozpraszające ją myśli o muzyce organowej. - Ale czy ceremonia mogłaby się odbyć na zewnątrz? Podoba mi się myśl o błękitnym niebie i woni letnich róż.

Już miał skinąć głową, gdy nagle zmarszczył brwi. Zerknął na zegarek i zaklął cicho.

- Porozmawiamy o tym wieczorem.

Zerwał się i pomógł jej wstać. Szybko zwinął koc i ruszył do samochodu. Spojrzał, że nie poszła za nim, więc obejrzał się przez ramię.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoił się, rzucił koc i wrócił do niej. - Kręci ci się w głowie?

Tamara przestała wstrzymywać oddech. Czuła się dobrze, ale trochę jakby... zawiedziona. Przez cały tydzień napięcie narastało, a kiedy się w końcu zgodziła, on musi biec na spotkanie. Może była naiwna, ale oczekiwała czegoś więcej.

Skrzywił się i odgarnął jej włosy powiewające na silnym, chłodnym wietrze. Potem schylił się, by ją wziąć na ręce.

- Zaniosę cię do samochodu.

Odepchnęła go lekko.

- Nic mi nie jest. - Był bardzo zajęty, ważnym biznesmenem. Przecież dobrze o tym wiedziała. Zawsze tak będzie i lepiej się już zacząć przyzwyczajać. Poza tym, kiedy pojawi się dziecko, ona sama będzie dość zajęta. Podobnie też będzie, gdy wróci do biznesu. - Tylko trudno mi czekać do wieczora.

Niechętnie zaakceptował tę wymówkę i podniósł porzucony koc. Gdy dochodzili do samochodu, wpadł jej do głowy pewien pomysł.

- Może byśmy gdzieś poszli na kolację?

Miała ochotę na świętowanie. Wiedziała nawet, którą suknię włożyć: ciemną, długą i elegancką. Armandowi na pewno się spodoba. Miała też nadzieję, że wieczorem odzyska choć trochę z tego, co teraz straciła.

- Świetny pomysł. - Nie zatrzymując się, ucałował ją nad brwią. - Wrócę jak najwcześniej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tego wieczoru Armand wrócił do domu po dziewiątej, wciąż wstrząśnięty. Zebranie potoczyło się zupełnie inaczej, niż się spodziewał, wręcz wszystko zostało wywrócone do góry nogami. W dodatku jeszcze potem otrzymał nieoczekiwane a bolesne informacje dotyczące Tamary. Koszmarny dzień. Zagryzł wargi, przeczesał palcami włosy i spróbował się skupić na jaśniejszych stronach życia. Tamara zgodziła się za niego wyjść. Dziecko będzie nosiło nazwisko De Luca, co w tych okolicznościach było najlepszym możliwym rozwiązaniem.

Jak dotąd nikt poza tym domem nie wiedział o tej ciąży. Ujawni ją po ceremonii. Dziecko przyjdzie na świat w okresie dozwolonym testamentem. Zdobędzie pakiet kontrolny DLE bez kłopotów, pomimo draństwa, jakiego dziś się dopuścił Matthew Mohill.

Przeklinając pod nosem, Armand ruszył do gabinetu. Matt był ostatnim człowiekiem, którego podejrzewałby o zdradę. Ufał mu całkowicie. Jednak właściwie powinien podziękować byłemu przyjacielowi ojca za bolesną lekcję.

Zobaczył na szczycie schodów królewską sylwetkę Tamary i na ten widok puls mu przyspieszył. Miała na sobie niesamowitą, czarną suknię podkreślającą jej coraz bardziej go pociągające kształty. W tym momencie przypomniał sobie o obietnicy kolacji.

Niech to szlag!

Wyprostowana, z pretensją w oczach, zaczęła schodzić.

- Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić, ale najwyraźniej byłeś zajęty. Nie chciałam przeszkadzać.

Nie bardzo wyczuwał jej nastrój. Lecz czy miała pretensje, czy nie, i tak już nic nie mógł zrobić. Zapomniał o sprawach domowych, ale tylko dlatego, że miał najpaskudniejszy dzień w życiu.

Wcisnął obie ręce w kieszenie, wymacał w jednej z nich tę notatkę.

- Zatrzymano mnie.

Jej lśniące wargi zadrżały, gdy spróbowała się uśmiechnąć.

- Jesteś głodny? Może kanapkę? Ruth zrobiła przed wyjściem cały stos -
zawahała się. - Tak na wszelki wypadek.

Nie był głodny. Miał ochotę na whisky, na uleczenie jakoś rany po nożu
wbitym w plecy. Wziął Tamarę za chłodną dłoń. Miał wrażenie, że była krucha jak
skrzydło ptaka. Poprowadził dziewczynę przez szeroki, mroczny hol. Stukanie jej
obcasów odbijało się od ścian.

- Chcesz porozmawiać?

Jej spokój nieco zmniejszył ból. Tak, była romantyczką, ale teraz zawarli pakt
i najwyraźniej mógł liczyć na jej pomoc. Jego ojciec wielokrotnie powtarzał, że
obowiązkowość u żony jest najlepszym przyjacielem zapracowanego mężczyzny,
zaś żona mająca własne zdanie największym koszmarem męża.

Zatrzymał się przed drzwiami gabinetu, jednak ruszył dalej, do ich ulubionego
pokoju. Na dziś miał dość siedzenia za biurkiem. Pomógł jej się usadowić na
kanapie. Wspaniała suknia spływała na jej delikatne stopy. Nalał sobie drinka, jej
zapropomował wodę z lodem, a potem opadł na fotel.

- Coś się wydarzyło.

Podniosła oczy znad szklanki i zbladła.

- Nie chcesz się ze mną ożenić.

Jej słowa były tak absurdalne, że w pierwszej chwili ich nie zrozumiał.

- Oczywiście, że chcę się z tobą ożenić!

W gruncie rzeczy ta myśl zaczęła już żyć własnym życiem. Uwodzenie
Tamary okazało się o wiele przyjemniejsze i trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Teraz
bramy do rajów stały otworem.

Pociągał whisky drobnymi łyżkami, kontemplując siedzącą przed nim
kobietę, która odetchnęła głęboko, zniesmaczona nieco swoim brakiem zrozumienia.

- To chyba ten wielki pusty dom tak na mnie wpłynął.

- Za sześć miesięcy już nie będzie pusty.

Ciepło rozlało mu się po duszy. To się dzieje naprawdę. Zawarł tysiące umów, ale do tej chwili ten istotny zwrot w jego życiu wydawał się dość nierealny. Teraz dotarło do niego, że Tamara będzie miała dziecko, a on zostanie ojcem, i z nazwy, i w praktyce.

Potem będzie więcej dzieci z rodu De Luca, dziedziców z jego nasienia. Zapewni im lepszą drogę do przyszłości, niż mieli oni z Markiem. Żadnych luk z powodu nadmiernego zaufania, żadnych niepełnych rodzin, wszystko zapięte na ostatni guzik. Zacznie wprowadzać te zasady w życie najszybciej, jak się tylko da.

- Myślałam o imionach.

Słowa Tamary oderwały go od rozmyślań o własnym testamencie.

- Imionach dla dziecka? - Skinęła głową, a Armand odetchnął mocno, z dumą.

- Tradycyjnie pierworodny ma na drugie imię Daniel. To takie solidne i męskie.

Skrzywiła się lekko.

- A kto powiedział, że to będzie chłopiec?

Armand był zaskoczony. W ogóle o tym nie pomyślał. Według medycznej wiedzy płeć dziecka w większej mierze zależy od mężczyzny, a od początku historii rodu pierwsze dzieci zawsze były rodzaju męskiego. Jednak gwarancji nie było, musiał być elastyczny. Upił łyczek, zastanawiając się.

- Jeśli to dziewczynka, na drugie damy jej Daniela.

Zamrugła niedowierzająco.

- Wcale nie jestem pewna, czy tego chcę.

- Doprawdy?

Zsunęła srebrne pantofle i podwinęła nogi.

- Myślałam o George'u albo może Paige.

Zachichotał i rozparł się mocniej w fotelu.

- To nie włoskie imiona.

- Nie jestem Włoszką.

- A ja tak.
- Tylko w połowie.
- Ta połowa się liczy.

Opuściła nogi.

- Co masz na myśli?

Pochylił głowę. Chyba nie poczuła się urażona? Po prostu pyta. Jako jej przyszły mąż cieszył się, mogąc udzielić wszelkich odpowiedzi.

- To oznacza kontynuację tradycji.
- A jeśli ja nie lubię tradycji?
- Już o tym mówiliśmy - przypomniał jej, obracając szklaneczkę.
- Naprawdę? A to kiedy?

- Małżeństwo to staroświecka i bardzo poważna instytucja. - Spojrzał na nią pobłażliwie. - Każda para powinna o tym pamiętać.

- Masz na myśli to, że to żona ma dbać o męża.

W myśli potrząsnął głową. Jej usta już nie były skrzywione, tylko mocno zaciśnięte. Gdzie się podziała ta pełna zrozumienia towarzyszką? Uznał, że temat lepiej odłożyć na później.

- Chyba chciałaś się dowiedzieć, co mi się dziś przytrafiło.

Niezależnie od rozbieżności zdań co do imion, Tamara wkrótce będzie jego żoną i powinien ją szczerze informować. Przynajmniej o posiedzeniu zarządu. Co do tej drugiej sprawy jeszcze się nie zdecydował.

- Dziś Matthew głosował przeciwko mnie.
- Przeciwko twoim planom rozszerzenia działalności na Azję?
- Podąłem wstępne wyliczenia, oszacowanie, ile czasu to zajmie, jakie będą koszty i jaki przyniosą zysk. Oczekał, aż skończę, i spokojnie oświadczył, że według jego niezależnych obliczeń to posunięcie jest ryzykowne i wcale niekonieczne.

- Biorąc pod uwagę waszą przeszłość, to, jak byliście sobie bliscy - powiedziała z twarzą pełną współczucia - musiał to być prawdziwy szok.

- W takiej sytuacji nie było sensu przeprowadzać głosowania - ciągnął. - Matthew podzielił salę na pół. Przegrupowanie i obejście oponentów będzie teraz wymagało dużo subtelnych zabiegów.

Co będzie możliwe dopiero po rocznym sprawozdaniu finansowym. Nie miał wyboru. Tylko pokazanie solidnych zysków mogło teraz pomóc w forsowaniu projektu, w przekonaniu członków rady, by postawili na aktywność i ryzyko, a nie myśleli tylko o spokojnej egzystencji. Tylko tak można się utrzymać na powierzchni.

- Przykro mi, Armandzie. To takie bolesne, gdy przyjaciele się kłócą.

Nic dziwnego, że jej firma splajtowała. Zaś on nie powinien się czuć odpowiedzialny za informację zapisaną na pogniecionej kartce spoczywającej w kieszeni. Najwyraźniej Tamara nie umiała odczytywać sygnałów ostrzegawczych, gdy delikatne naciski trzeba było zmienić w bezlitosne uderzenia.

- Mogliśmy z Matthew przedyskutować wszystkie wątpliwości dziś przed trzecią. Nie chodziło mu o kompromis. On rzucił rękawicę.

Boże, jak by chciał już zakończyć tę rozmowę, żeby mogli wrócić do tego, co przzerwali po południu, i po prostu wylądować w łóżku.

- Matthew rzuca ci wyzwanie? - spytała. - Dlaczego?

- Przed spotkaniem pokazał mi zdjęcie swojej żony. Spodziewałem się kogoś w jego wieku, sympatycznej starszej pani. Evie Mohill jest w twoim wieku. Blondynka, piękna i, najwyraźniej, ambitna.

- Sądysz, że przekonała go do próby podkopania twojego autorytetu?

- A może także do zatrzymania pakietu kontrolnego mojej firmy.

Kolczyk Tamary błysnął w przyćmionym świetle, gdy się roześmiała.

- Na pewno Matthew nie zaryzykowałby waszej przyjaźni tylko dlatego, że jego świeżo upieczona żona jest żadna majątku. Żaden inteligentny, już bogaty mężczyzna, nie zrobiłby czegoś takiego. - Objęła się jedną ręką w pasie, oparła łokieć na nadgarstku i uniosła szklanekę do ust. - Na pewno się mylisz.

Armand spochmurniał. Patrzył na Tamarę, ale widział opaloną twarz i jasne oczy Matthew chłodno oceniające go z przeciwnej strony stołu.

- Nie myślę się. Ale i ty możesz mieć rację.

- Teraz mówisz zagadkami.

- Znam Matthew tak samo dobrze jak własnego ojca. Widziałem to w jego oczach, Tamaro. Nie zamierzał o tym dyskutować. Planuje działania przeciwko mnie. Lecz myślę, że masz absolutną rację. Nikt by tak nie ryzykował tylko z powodu kobiety, nawet tak uwielbianej, żaden mężczyzna mający choć trochę oleju w głowie. Jest w tym coś więcej. Lecz sądzę, że nie zdradzi reszty łamigłówek, dopóki nie przyniesie mu to kolejnej korzyści.

Westchnęła. Nie bardzo wiedząc, jak mogłaby pomóc, pogłaskała go lekko po ręce.

- Chyba dziś w nocy będziesz miał kłopoty ze snem.

- Prawdopodobnie. - Zachęcony jej dotknięciem objął ją i puls mu przyspieszył. - Ale przynajmniej będę mógł skupić uwagę na czymś przyjemnym.

Uniósł jej podbródek i pocałował. Kłopoty od razu wydały mu się bardziej odległe. Zadrżała, przysunęła się bliżej. Pomyślał, że warto by pójść na górę.

- Armandzie... Chcę zaczekać...

Jej ochryply szept, tuż przy jego policzku, powstrzymał go na chwilę. Czekać z kochaniem się?

- Aż wrócimy z kolacji? - Miał apetyt tylko na nią.

- Do nocy poślubnej.

Drgnął zaskoczony. Zacisnęła mu mocniej dłoń na ramieniu. Chyba żartowała. Musiała kpić.

Przesunął dłoń po jej łopatkach, niżej, po nagich plecach, do pośladków, przycisnął mocniej jej biodra do siebie. Westchnęła cicho w odpowiedzi. Jej reakcja spowodowała, że przestał czuć cokolwiek oprócz pożądania.

Zakołysał się lekko, skupił na jej ustach i delikatnie podprowadził do kanapy.

- Ślub jest dopiero za tydzień.
- Chcę, żeby się to odbyło we właściwy sposób.
- Och, tak będzie, w stu procentach.

Dotknęła kolanami brzegu kanapy, na której złożył ją delikatnie.

- Czyli rozumiesz.

Pocałował ją znowu, bardziej natarczywie. Kiedy zabrakło mu tchu, cofnął się trochę, żeby zsunąć cieniutkie ramiączko z jej ramienia.

- Rozumiem... co?

Przytrzymała jego rękę.

- Że należy poczekać.

Patrzył na nią w dół... na te stworzone do pocałunków usta, na smakowitą szyję, na wszystko, co chciał odkrywać i zdobyć.

Już dziś.

- Nie mówisz poważnie - wychrypiał.
- Czy sam nie wolałbyś poczekać?

Potał niepewnie skroń. Patrzyła na niego wzrokiem pełnym wyrzutu.

- Przecież to ty tak podkreślałeś znaczenie tradycji.

Poczuł opadające go zniechęcenie. Jęknął.

- I z tego powodu powinienem poczekać ze skonsumowaniem naszego małżeństwa do nocy poślubnej? - Sam się wpakował w tę pułapkę.

Ujęła jego twarz w obie dłonie.

- Wszystko toczyło się tak szybko. Chciałabym, żeby nasza pierwsza noc naprawdę coś znaczyła.

Kusiło go, by oświadczyć, że na pewno będzie. Lecz jej lśniące oczy przemawiały do niego na poziomie o wiele głębszym niż zwykle pożądanie. Gdzieś w środku szlachetny człowiek stanowczo odsunął na bok rozpaloną bestię. Czekał tak długo, wiedząc, że w końcu zwycięży. Ożeni się, za sześć miesięcy przedstawi światu prawowitego spadkobiercę i wypełni wymagania testamentu.

Gdzie i kiedy zatarły się granice? Uwieńczone sukcesem uwiedzenie miało być tylko środkiem do osiągnięcia celu, a nie celem samym w sobie.

Poza tym, psiakrew, Tamara miała rację. Kiedy się pobiorą, to na zawsze. Żadnych odwrotów, żadnych ucieczek od związków, te same zasady dla obojga. Choć każda jego męska cząstka domagała się, by ją przekonać i wziąć już teraz, nie chodziło przecież o erotyczny podbój. Chodziło o przyszłość... rodzinę. Dla tego mógł poczekać.

Odetchnął mocno, żeby się uspokoić, wstał i podniósł ją.

- Robi się późno, jesteś pewnie bardzo zmęczona. Jutro wieczorem pójdziemy na kolację. Odprowadzę cię do pokoju.

Odwrócił się w stronę fotela i stanowczo zdusił w sobie ostatnie iskry.

- Może jednak lepiej tu zostanę.

Na dłuższą chwilę zapadła krępująca cisza, w końcu odezwała się z rezygnacją, choć niezbyt zadowolonym głosem:

- Może rzeczywiście. Dobranoc, Armandzie.

Skinął głową, uśmiechnął się krótko i poczekał z opadnięciem na fotel, aż wyszła. Kiedy się upewnił, że odeszła, wyciągnął z kieszeni kartkę, którą w piątek sekretarka zostawiła mu na biurku. Odkrył ją dopiero po dzisiejszym zebraniu - kropla przepełniająca czarę, można by powiedzieć.

Rozłożył kartkę i zapałzył się na notatkę.

Chcąc zrobić na nim dobre wrażenie, prywatny detektyw pokopał nieco głębiej. Jak się okazało, bankructwo Tamary było jak najbardziej do uniknięcia. Zupełnie bez uzasadnienia wstrzymano uregulowanie tego ogromnego rachunku. Gdyby naciskała choć trochę mocniej, była bardziej uparta i zdecydowana, wygrałaby i odzyskała wypłacalność.

Zabrał tę notatkę do domu, na wpół przekonany, że powinien przekazać jej tę informację, tyle tylko, że nikomu nic by z tego nie przyszło. Rozważania po fakcie

były nie tylko bezużyteczne, ale w tym delikatnym momencie mogły się okazać fatalne.

Wstał i podszedł do cedrowego biurka wciśniętego w ciemny kąt i z szuflady wyciągnął zapalniczkę ojca. Podchodząc do barku, podpalił kartkę, rzucił ją na srebrną tacę i przyglądał się, jak się skręca w ogniu, czernieje i zamienia w popiół.

Ostry dym drażnił mu gardło i szczypał w oczy, ale odczekał, aż wszystko spłonie, a potem zmył popiół w zlewie. Na koniec podszedł do drzwi i wyłączył światło.

Zamykając drzwi, czuł ukłucia wyrzutów sumienia, ale przecież poczynił właściwe kroki. Zaczynali nowe życie i niepotrzebne im były wstrząsy. Dziś Tamara też to przyznała. Nigdy się nie dowie o niekompetencji osoby odpowiedzialnej za zniszczenie jej przedsiębiorstwa ani o tym, że winna temu firma - Barclays Australasia, która wciąż mogłaby wypłacić odszkodowanie - należała do DLE.

Mogłaby błędnie założyć, że wiedział o tym od dawna i że to on zatrzymał wypłatę należności, by zwiększyć swoje zyski. Mogłaby nawet zerwać zaręczyny, a do tego nie można było dopuścić. Rzecz należało starannie wyciszyć.

Za tydzień osiągnie swój cel, a ona już nigdy nie będzie się musiała niczym martwić. Klauzula testamentu zostanie wypełniona, Tamara będzie jego, staną się rodziną. W głębi serca będzie się musiała zgodzić... że tylko to się liczy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tamara odsunęła tost i postukując piórem w stół, który czasem wykorzystywała do odrabiania pracy domowej, spróbowała skoncentrować się na liczbach drwiąco spoglądających na nią ze stron podręcznika.

Zagląający jej przez ramię Armand właśnie skończył poprawiać jedwabny krawat.

- Masz problem z zadaniem?
- Gorzej - przyznała, choć bliższe prawdy byłoby powiedzenie „leżę i kwiczę”.
- Chodzi o to ostatnie?

Przyglądała się rysom jego twarzy. Tydzień temu zgodziła się zostać jego żoną, jednak wciąż zaręczyny wydawały jej się nierealnym snem.

Odwróciła wzrok i nabazgrała C w notesie*.

- Dziś rano na uczelni ogłoszono wyniki ostatnich prac. Zdałam.

** W australijskim systemie ocen szkolnych C odpowiada naszej ocenie dostatecznej (3). (przyp. tłum.)*

Niebiosom niech będą dzięki. Jednak kolejne zadania były coraz trudniejsze. A potem egzamin i w pierwszym semestrze następnego roku dwie końcowe prace. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Przykucnął przy niej. Przykrywająca jej rękę jego dłoń grzała jak piec. Ten kontakt, razem z bliskością jego ust i świeżo ogolonych policzków, wcale nie pomagały jej w koncentracji. Nic nowego. Do podniecenia wystarczyło jej, że znajdował się blisko. Ścisnął jej dłoń.

- Może powinnaś zrobić sobie przerwę do porodu? Nie wolno ci się przemęczać.

Zabrała rękę.

- Trochę mi ciężko - zbagatelizowała zmęczenie - ale uzyskanie tego dyplomu jest dla mnie ogromnie ważne.

Odnalazł jej dłoń.

- A dla mnie jest ważne twoje samopoczucie.

Jego dotyk ją pocieszył, ale dominujący ton rozzłościł. Wróciła wzrokiem do książki i potrząsnęła głową.

- Nic nie rozumiesz.

Jej motywacja zapewne nie była unikatowa, ale wynikała z przeszłości, której Armand nie był w stanie pojąć.

Za każdym razem, gdy jej matka upinała siwiejące włosy i niechętnie wychodziła na kolejną, długą zmianę w pralni, Tamara powtarzała tę samą przysięgę: prędzej piekło zamarznie, niż pójdę w ślady matki. Były dwie rzeczy niezbędne do jej spełnienia: wykształcenie i determinacja.

- Rozumiem, że czujesz, że musisz to zrobić, ale sytuacja się zmieniła.

Wzruszyła ramionami, zaskoczona.

- No właśnie.

- Co właśnie? - Otworzył jej zaciśniętą dłoń i przycisnął ją do ust.

Mrówki popędziły w górę po jej ramieniu. Czy naprawdę musiał ją tak rozpraszać w trakcie każdej poważnej dyskusji?

Zerknęła w stronę kuchni, by się upewnić, że rozmawiają w cztery oczy. Ruth nigdzie nie było.

- Nic nie rozumiesz - powtórzyła.

Nie zmieniając pozycji, ucałował ją. Kiedy się odsunął, nie zdołała powstrzymać cichego jęku.

- Za kilka dni zostaniesz żoną najbogatszego mężczyzny w tym kraju. Już nigdy niczym nie będziesz się musiała martwić. Zadbam o to.

Tamara poczuła się strącona z obłoków. Musiała zebrać myśli. Mężczyźni w rodzaju Armanda rozwiązywali wszelkie problemy w specyficzny sposób -

przejmując inicjatywę, chroniąc i zgarniając na siebie wszelką odpowiedzialność. W teorii to szlachetne działania, dzięki którym kobieta mogła się poczuć delikatna i bezcenna. Lecz ona była kimś więcej niż cennym elementem majątku.

- Rzecz tkwi nie w bogactwie, tylko w uprzywilejowanym życiu. Pragnienie uzyskania dyplomu wynika z tego, kim byłam i co zawsze chciałam osiągnąć.

Popatrzył na nią współczująco, masując kciukiem jej przegub.

- Ja zawsze pragnąłem rodziny. Zakładałem, że ty też.

- Filiżankę herbaty przed wyjściem, sir?

Armand spojrział na gospodynię, najwyraźniej gotową do zabrania się za wyrabianie ciasta na babeczki.

- Dziękuję, Ruth - zerknął na zegarek - ale już jestem spóźniony.

Jakby rozumiejąc, o czym mowa, Mistrz podniósł się ze swojego posłania i wepchnął swój wielki łeb pod pachę najlepszemu przyjacielowi. Armand podrapał go przez chwilę, po czym wstał. Był zbudowany jak nowoczesny wojownik.

Który pragnął rodziny.

Z początku sądziła, że jego wątpliwości związane z poślubieniem jej wynikają z biznesowego charakteru tego mariażu, zawieranego z konieczności, ponieważ potrzebował spadkobiercy, a potem doszedł do wniosku, że to dziecko potrzebuje jego nazwiska. Teraz jednak jego słowa o posiadaniu rodziny brzmiały tak naturalnie, były wręcz pełne wiary.

- Przyjrzałem się położnym - powiedział, rzucając Mistrzowi kawałek croissanta. - Doktor Fielding nie przyjmuje nowych pacjentów, ale jest najlepsza. Załatwię wizytę u niej jeszcze przed ślubem.

Znów ta atmosfera dominacji. Lecz, prawdę mówiąc, jego zachowanie po tym oświadczeniu, że pragnie rodziny, powodowało, że czuła się nie jak cenny przedmiot, ale raczej jak dama otoczona atencją rycerza. Tylko że wpychanie się na siłę w kalendarz bardzo zajętej położnej nie miało sensu.

- Byłam niedawno na kontroli u lekarza. Wszystko jest w porządku.

Chociaż pobieranie krwi do kilku zaleconych przez niego badań nie należało do przyjemności. Nie znosiła igieł - nawet nie tyle bólu, ile samej myśli o wbijaniu czegoś w ciało.

Wyraz twarzy Armanda wyraźnie mówił, że i tak zrobi, co będzie uważał za najlepsze.

- Wrócę do domu wcześniej.

Coś błysnęło mu w oczach, ale szybko zgasło. Widziała tę jego minę wielokrotnie od chwili, gdy poprosiła, by poczekali do nocy poślubnej. Nie podobała mu się zwłoka w sfinalizowaniu ich życia intymnego, ale musiała mu przyznać, że choć nieraz go trochę ponosiło, nigdy nie przekroczył pewnych granic.

Och, mnóstwo było obejmowania, pocałunków, tak jak chwilę temu czy w basenie. Lecz zanim narastające pomiędzy nimi napięcie doprowadziło do wybuchu, wyskoczył z wody, owinał się w talii ogromnym ręcznikiem kąpielowym i pomaszerował prosto pod prysznic. Wiadomo dlaczego. Pragnął jej. I to mocno. O rany, a jak ona pragnęła jego...

Tymczasem podszedł do blatu, na którym czekała czarna aktówka.

- Czy chciałabyś zaprosić jeszcze kogoś?

Wychodzę za mąż!!!

I to w Wigilię. Zawsze zorganizowany Armand złożył wymagane papiery, zanim jeszcze ona wyraziła zgodę. Przedwczesne posunięcie, ale postanowiła nie protestować.

- Już wczoraj skontaktowałam się ze wszystkimi znajdującymi się na mojej liście.

Było to kilkanaście osób. Wszystkie oprócz jednej zastała w domu.

Przypuszczała, że mogłaby jeszcze zaprosić kilku miłych sąsiadów i znajomych z czasów prosperity Idealnych Imprez. Tylko że chciała widzieć na weselu wyłącznie ludzi, których obecność naprawdę uświetni wydarzenie. W tym swoją matkę.

Miała nadzieję, że Elaine Kendle się odezwie. Ich kontakty skurczyły się do trzech, czterech telefonów na rok, ale istniał ważny powód do zapomnienia o przeszłości - Elaine miała wkrótce zostać babcią.

- Muszę cię uprzedzić - wtrącił Armand, biorąc teczkę - że Matthew też będzie.

Tamara zakrztusiła się herbatką malinową.

- Myślałam, że jesteście skłóceni.

- To coś dużo gorszego.

- Dlaczego więc go zapraszasz?

- Słyszałaś takie przysłowie: Trzymaj przyjaciół blisko siebie, a wrogów jeszcze bliżej? Poza tym nie chcę pogłębiać wrażenia rozdźwięku pomiędzy nami. Wielu członków zarządu też się pojawi, oczekując jego obecności.

Armand i Matthew przez długie lata byli przyjaciółmi. Jeśli ona była gotowa spróbować odbudować kontakt ze swoją matką, na pewno Armand też mógł spróbować ze starym przyjacielem.

- Zaproszenie Matthew to chyba dobry pomysł. To może być okazja, żebyście we dwójkę siedli gdzieś poza biurem i szczerze pogadali o tym, co was poróżniło.

Armand przechylił głowę, trochę rozbawiony.

- Wierz mi, Matthew nie chce ani zrozumienia, ani przebaczenia. Ma szersze plany. To biznes, Tamaro. Wielki biznes.

- Czy nie jest to też sprawa osobista? - zapytała.

- Biznes jest zawsze sprawą osobistą - odparł, podchodząc do niej.

Błysk w jego oczach sugerował coś więcej. Jeśli biznes jest sprawą osobistą, to może i odwrotnie: sprawa osobista to interes.

Poczuła ukłucie bólu w brzuchu. Unikając jego wzroku, położyła dłoń na tym miejscu.

Od chwili przyjęcia oświadczyn każdego dnia przekonywała samą siebie, że cynizm Armanda dotyczący miłości maleje i być może naprawdę się w sobie zakochają. Może jednak tylko się oszukiwała.

Wkrótce zostaną podpisane dokumenty mające konsekwencje prawne. Jeśli po ślubie się okaże, że jego zainteresowanie stanowiło jedynie narzędzie służące konkretnym celom, a nie wyraz rzeczywistych uczuć, nie będzie się mogła wycofać. Armand niełatwo by pozwolił odejść jej czy spadkobiercy, walczyliby do upadłego. A z tego wynikało następne pytanie: Czy będzie kochał to dziecko tak samo jak ona... tak samo jak jego własne, kiedy się już pojawią?

- Zobaczymy się wieczorem - wymruczał miękko i szybko wyszedł przez drzwi prowadzące do garażu.

Na szczęście Ruth została i mogła wypełnić nagłą pustkę. Ze szczękiem wsunęła blachę do piekarnika.

- Co byś powiedziała na babeczkę, kiedy już dojdą?

- Może po południu.

Ruth zsunęła z dłoni rękawice ochronne w czerwony wzorek i wsunęła je do bocznych kieszeni fartucha.

- Może w takim razie szklankę mleka dla złagodzenia dolegliwości?

- Nie przejmuj się. To nie poranne mdłości, po prostu nie jestem głodna.

W trzynastym tygodniu ciąży miała już za sobą najgorsze ataki głodu. Czowała się zdrowsza i co dzień nieco cięższa. Przyrost wagi był naturalny w trakcie ciąży, ale lekarz wyraźnie podkreślił, jak istotne są właściwe ćwiczenia. Zatrzasnęła książkę i wstała.

- Właściwie to może spacer poprawi mi apetyt.

Ruth podeszła zebrać talerze po śniadaniu.

- Bardzo dobra pora na spacer, jeszcze przed upałami. Ale proszę wziąć kapelusz.

Tamara miała ochotę ją uściskać. Razem z Armandem sprawiali, że czuła się jak w kokonie.

- Zabiorę ze sobą książki. Może piękne widoki nakłonią mój mózg do pracy.
- Pani De Luca także lubiła tam siadywać.

Sięgająca po podręczniki Tamara odwróciła się gwałtownie.

- Znałaś Angelę? - Gospodyni była tu od lat, ale żeby ponad dwadzieścia pięć?

Ruth, zazwyczaj prosta jak świeca, przygarbiła się nieco i odkręciła kran.

- Po tych kłopotach zastanawiałam się, czy nie odejść. Jednak nie mogłam, kiedy... - wzdrygnęła się wyraźnie. - No cóż, wiesz przecież...

- Nie, Ruth, nie wiem. Armand w ogóle nie mówi o rodzicach.

- To zrozumiałe. - Gospodyni zacisnęła usta.

Teraz, gdy istniejąca dotychczas bariera została usunięta, Tamara musiała się dowiedzieć, co się za tym wszystkim kryje.

- Powiedz mi, Ruth. Co się stało?

Ruth w milczeniu włączyła światło w piekarniku i pochyliła się, by sprawdzić babeczki.

- Nie mnie o tym mówić - wydusiła z siebie w końcu.

- Wiem, że czasem kobieta nie ma wyboru - odezwała się Tamara. - Lecz czemu ktoś na miejscu Angeli miałby opuszczać dziecko?

Ruth odwróciła się gwałtownie.

- Nie opuściła go. To Dante nie pozwolił jej go zabrać.

Tamara, zaskoczona, opadła z powrotem na krzesło.

- Ale młodszego syna pozwolił?

- To też nie tak. - Ruth z zakłopotaniem wcisnęła dłonie do kieszeni fartucha. -

Cała historia jest skomplikowana.

- Nie wątpię. - Tamara pochyliła się do przodu, splatając dłonie.

Nie chciała naciskać, ale coś jej podpowiadało, że powinna. Sprawa była ważna, a od Armanda nie miała szans się dowiedzieć. Popatrzyła wyczekująco na Ruth, która poruszyła połami fartucha, potem jęknęła cicho i skinęła głową.

- Z początku wszystko było idealnie - zaczęła. - Byli bardzo szczęśliwi. Dante był już nieprawdopodobnie bogaty, a Angela pochodziła z niższej warstwy społecznej. Pierwsza jej ciąża minęła jak z płatka, ale po narodzinach Marca nie mogła dojść do siebie. Była taka... osowiała. To chyba najlepsze słowo. Kochała obu chłopców, ale twierdziła, że przez cały dzień czuje się zagubiona w tym ogromnym, pustym domu.

Zagubiona. To słowo znakomicie nazywało niepokój odczuwany przez Tamare, gdy Armanda nie było w domu. Tak samo się męczyła, gdy była młodsza, zostawiana samotnie na długie godziny.

Ruth usiadła powoli.

- Pan De Luca próbował ją zrozumieć. Organizował dla niej charytatywne przyjęcia, wynajął przemiłą nianię, która była na każde skinienie Angeli. - Gospodyni zacisnęła w dłoni zmiętą chusteczkę. - Potem Angela zaczęła wspominać o powrocie do zawodu pielęgniarki, na niepełny etat.

Kiedy rozmawiali o jego matce, Armand używał słów „niezależny duch”. Czy i on, i jego ojciec uważali Angelę za niezależną duchem tylko dlatego, że chciała znaleźć jakieś spełnienie poza domem?

- Jakiej pielęgniarki?

- W pogotowiu. Do tego trzeba specjalnych zdolności, tak słyszałam.

Szczególnie brakowało jej tego, co najbardziej kochała: pomagania w ratowaniu ludzi, czasem wręcz ich życia. Kiedy pan De Luca był w pracy, starała się podnosić swoje kwalifikacje. Dowiedział się o tym i rozpętało się piekło.

- Dlaczego? - Tamara podejrzewała, jaka będzie odpowiedź.

- Powiedział jej, że ona nie musi pracować. Matka ma dbać o dzieci, a żona o męża. Sam stracił rodziców, gdy był bardzo młody - dodała usprawiedliwiająco. - Musiał bardzo ciężko pracować, by utrzymać wszystko, co zdobył.

- Dante miał bardzo staroświeckie poglądy - zawyrokowała Tamara.

I na testamenty, i na kobiety, pomyślała.

- Tak, to prawda, był tradycjonalistą. - Ruth popatrzyła Tamarze w oczy. - Wtedy jednak wszystko wyglądało inaczej.

Czy syn Dantego tak bardzo się od niego różnił? Armand wychował się w domu, w którym liczyło się wyłącznie zdanie mężczyzny. Do diabła, nawet zaakceptował rozumowanie ojca uzasadniające umieszczenie w testamencie tej idiotycznej klauzuli. A ona niespecjalnie się przejęła, gdy założył, że to on wybierze lekarza i imię dla dziecka. Poczula się tylko zaskoczona. Przypuszczalnie po ślubie uzna, że nie powinna zaspokajać swoich ambicji i dążyć do wykształcenia czy posiadania własnej firmy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by mógł się okazać takim szowinistą. Z drugiej strony Angela prawdopodobnie rozumowała tak samo. Ruth westchnęła ciężko.

- Im mocniej Dante naciskał, tym bardziej Angela była zdeterminowana. Podjęła pracę i skończyło się to strasznymi kłótniami. Pewnego dnia, gdy Angela siedziała w samochodzie z Markiem, zamierzając go odwiedzić na trening piłki nożnej, Dante postawił jej ultimatum. Zostań i bądź matką dla obu chłopców, albo odejdz z tym jednym, którego masz.

Tamara aż się skreśliła, wyobrażając sobie tę scenę.

- Nie pozwolił jej wrócić, jeśli całkowicie się nie podda - ciągnęła Ruth. - Próbowała przemówić mu do rozsądku, ale on wysłał Armanda do szkoły z internatem i złożył pozew, by uniemożliwić jej zabranie go stamtąd. Jako powód podał zaniedbanie. Wyzwała go od diabłów i walczyła z całym siłą o dostęp do Armanda, ale Dante zacinał się coraz mocniej, co w końcu zmieniło jego serce w kamień. Nikomu nie wolno było nawet wymienić jej imienia.

- Lecz jak mógł zrezygnować z młodszego syna? Jako człowiek dorosły Marc był wyjątkowy, jako dziecko musiał się wydawać aniołem.

- Kiedy Dante się zorientował, że Angela nigdy się nie podda, przekonał sam siebie, że Marc nie był jego synem. Nawet go wydziedziczył. Angela kochała Dantego, nigdy go nie zdradziła. Jednak za bardzo chciał ją kontrolować, tak jak wszystko. Usiłując nią zawładnąć, zdołał ją jedynie od siebie odepchnąć.

Przygnębiona Ruth rzuciła chusteczkę na misę z owocami. W tym momencie, jak za sprawą czarów, zadzwonił telefon. Gospodyni wstała, by go odebrać, a Tamara bezwładnie opuściła ręce na kolana.

Cóż za smutna historia. Zniszczona rodzina, dwóch małych chłopców pozbawionych wsparcia i miłości obojga rodziców. Nic dziwnego, że Armand i Marc woleli tego nie rozgrzebywać.

Jednak wcale nie żałowała, że wyciągnęła z Ruth prawdę. Tragedii Angeli nie dało się już odwrócić, lecz dzięki temu Tamara wiedziała, czego się spodziewać. Na pewno Armand nie był aż tak bezlitosny jak jego ojciec, nawet uwzględniając jego bezwzględność w interesach, ale wysłuchanie tej ponurej historii upewniło ją co do kilku rzeczy.

Przede wszystkim, zanim podejdą do ołtarza, konieczne będzie ustalenie kilku spraw. Może powinna zażądać spisania przedślubnego kontraktu opisującego oczekiwania obu stron? Będąc bystrym biznesmenem, Armand powinien docenić jej dbałość o szczegóły. Jeśli zaś będzie się uchylał przed tym... No cóż, w takim wypadku będzie musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

Właśnie składała książki, porządkując myśli, kiedy Ruth podeszła ze słuchawką w dłoni.

- Tamaro, kochanie, to twoja lekarka.

Poczuła się niepewnie. Nie spodziewała się żadnych informacji. Doktor zapewniła ją, że wszystkie badania są czysto rutynowe i nie spotkają się wcześniej

niż za miesiąc. Na pewno zostawiła swoją kartę ubezpieczeniową albo trzeba powtórzyć któreś badanie. Zadrżała. Naprawdę nie znosiła igieł. Wzięła słuchawkę.

Rozmowa była krótka i nie pozostawiała wątpliwości. Na koniec usłyszała „bardzo mi przykro”. Tamara miała kompletny zamęt w głowie. Wszystko wokół niej zamarło.

Nie wiedziała, czy się pożegnała, zanim słuchawka wysliznęła jej się z dłoni. W gardle palił ją ogień, traciła od niego oddech. Jeśli się nie podda łzom, wszystko okaże się nieprawdą. Może Bóg pozwoli jej się cofnąć w czasie i...

Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła dygotać. W końcu głos Ruth przebił się przez zasłonę szoku.

- Co się dzieje? Tamaro, spójrz na mnie!

Nie chciała. Miała chęć tylko zwinąć się w kłębek i ukryć przed tymi przerażającymi wieściami. Jednak zmusiła się do odpowiedzi.

- Dziecko! - O Boże... - Coś jest nie tak z dzieckiem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czterdzieści pięć minut później Tamara, sztywna jak figura woskowa, siedziała w sterylnym gabinecie najlepszej kliniki na całym wschodnim wybrzeżu. Sąsiednie krzesło zajmował Armand. Co chwila ścisnął ją za dłoń, a ona gapiła się bezmyślnie przed siebie.

- Wszystko będzie dobrze, nie martw się - powiedział spokojnym, pewnym głosem.

Po tamtym telefonie Tamara najpierw była w stanie kompletnego szoku, a potem się rozpląkała jak jeszcze nigdy w życiu. Ruth zadzwoniła do Armanda. Poradził, żeby wzięły taksówkę, będą szybciej, skoro on już jest w mieście.

Czuła się rozbita i pozbawiona energii. Czekanie na doktor Fielding było równoznaczne z torturą. Musiała wiedzieć, czy jest aż tak źle, jak powiedziała internistka, czy jeszcze gorzej.

- Tak się boję...

Była tak przerażona, że prawie wrzeszczała. Armand pochylił się i lekko musnął ustami jej włosy.

- Bez względu na to, ile to będzie kosztowało, gdzie będziemy musieli pojechać czy kogo dopaść, uratujemy dziecko. Nie martw się. - Ucałował ją w skroń. - Jestem przy tobie.

- Ona powiedziała... Lekarka mówiła, że jest dziewięćdziesięcioprocentowe ryzyko poważnego problemu. Że muszę rozważyć pewne decyzje.

W myślach wciąż jej się przewijała tamta rozmowa. Lekarka oznajmiła, że musi przeprowadzić dodatkowe badania. A także zastanowić się nad decyzjami. Decyzje? Co to, u diabła, mogło znaczyć?

- Nie potrafię przestać myśleć o tym, co się stało. Zawsze myślałam o swoim dziecku jako o kimś doskonałym, z mojego punktu widzenia... i dla całego świata.

- Tak będzie - stwierdził stanowczo Armand, nie patrząc na nią. - Zadbam o to.

Jest taki pewny siebie. Spostrzegła jednak wilgotny błysk na jego czole i zaciśniętą na poręczy fotela dłoń. Razem w tym tkwili... w nadziei i w desperacji. Był tu z powodu Tamary i jej dziecka.

Ich dziecka.

Proszę, proszę, niech to się już skończy. Niech wszystko będzie dobrze.

Aż podskoczyła na odgłos otwieranych drzwi. Do pokoju energicznie wkroczyła atrakcyjna kobieta w średnim wieku. Miodowej barwy włosy miała zebrane w luźny koński ogon. Zza okularów bez oprawek wpatrywała się w przejrzystą, plastikową teczkę. Nie spuszczała z niej wzroku do chwili zajęcia miejsca za biurkiem. Jakby dopiero wtedy dostrzegła gości, jednym ruchem odwróciła gwałtownie głowę, puściła teczkę i zdjęła okulary.

- Cieszę się, że udało się znaleźć dla was miejsce na liście pacjentów mimo tak późnego umówienia, pani Kendle - spojrzała na Armanda i skinęła głową - i panie De Luca.

- Jestem wdzięczny pani doktor, że poświęca nam pani czas - odparł.

Tamara po raz kolejny pomyślała, jakie wpływy musiał mieć Armand, skoro niemal natychmiast zdołał załatwić wizytę u tej specjalistki. Choć w gruncie rzeczy miała w nosie, jak mu się to udało. Doktor Fielding była najlepsza w branży, czyli właściwa dla jej dziecka.

Lekarka zwróciła się do Tamary.

- Od pani internisty, pani Kendle, otrzymałam wyniki trzykrotnych pani badań. Nie będę owijać w bawełnę. Źle oceniono stopień zaawansowania ciąży. Wiem, że na pewno przysporzyło to państwu mnóstwa zmartwień. Jest pani w ciąży od trzynastu tygodni? - spytała.

Tamara zdołała jedynie skinąć głową.

- Pani internista zlecił badanie sprawdzające się pomiędzy szesnastym a osiemnastym tygodniem ciąży. - Zajrzała do leżącej na stole teczki. - Otrzymane wyniki są nieprawidłowe jedynie w bardziej zaawansowanym stanie. Jak na trzynasty tydzień poziom hormonów jest całkowicie w normie. Można jednak zrobić inne badania, zaproponowałabym też skan. Lecz według mego rozeznania - uśmiechnęła się pokrępijając - nie ma żadnych podstaw, by za sześć miesięcy nie oczekiwać zdrowego dziecka.

Tamarze zrobiło się tak słabo, że ledwie się utrzymała na fotelu.

- Dziękuję, doktor Fielding. - Armand zerwał się energicznie.

Tamara podążyła za nim, czując się lekka jak mgiełka. Gdy tylko Armand puścił dłoń lekarki, uścisnęła ją z całego serca.

- Nie wyobraża sobie pani nawet... - odetchnęła głęboko, uśmiechając się od ucha do ucha - jaka to ulga.

Lśniące oczy lekarki miały wyraz mówiący, że raczej świetnie wie, jak to jest.

- Powiem recepcjonistce, żeby zapisała państwa na wizytę kontrolną.

Kiedy Armand załatwiał wizytę przy kontuarze, Tamara czekała na niego w endorfinowej mgiełce szczęścia. Dopiero w windzie się ocknęła, odwróciła do niego i niemal krzyknęła:

- Miałeś rację.

- Rację, ale w czym?

- Powinnaś była mnie słuchać. Od początku chciałeś dla mnie jak najlepiej. Ale ja to odrzucałam, bo chciałam odgrywać pannę Niezależną i robić wszystko samodzielnie. To było głupie. - Oparła ciężko głowę na jego piersi. - Można było uniknąć tego całego bólu.

Kołysała głową na boki, przeklinając się w duchu. Kretyńska duma.

Dorastając, nauczyła się polegać wyłącznie na sobie. Najwyższy czas rozstać się z tym podejściem.

Okoliczności, które doprowadziły do jej spotkania z Armandem, nie należały do najszcześniejszych, jednak los nie odwrócił się od niej całkowicie. Jej biznes, dom i najlepszy przyjaciel zniknęli, lecz jako rekompensatę otrzymała rosnące w niej, bezcenne dziecko. Obok miała mężczyznę, który przysiągł dbać o nich oboje. Jej największe życzenie, które jeszcze parę tygodni temu zdawało się czystą fantazją, właśnie się spełniało.

Gnana gwałtownym impulsem, rzuciła mu się na szyję. Objął ją w pasie. Ogarnęło ją i uspokoiło silne poczucie wypełniania się przeznaczenia. Poczula jego męski zapach. Ależ uwielbiała tę woń. A jeszcze bardziej poczucie, że może się na nim oprzeć jak na skale, nieważne, jak potężny otacza ich sztorm.

- Powinnam ci zaufać - szepnęła mu do ucha - pozwolić ci na podjęcie kilku decyzji dotyczących dziecka. - W końcu przecież miał być jego ojcem, tyle tylko, że dopiero teraz w pełni zaakceptowała ten fakt.

- W porządku, już po wszystkim.

Ufała mu. Zdanie sobie z tego sprawy było jak eksplozja w głębi jej umysłu. Ten mężczyzna nigdy jej nie skrzywdzi ani nie zawiedzie.

Była na tyle mądra, by przyznać, że gdy się poznali, był zupełnie inny - napędzało go stado prywatnych demonów zmuszających do odnoszenia sukcesów. Nie wykuto go jednak w kamieniu. Rozwój ich związku zmieniał go powoli, lecz nieustająco.

- Nie dawaj mi nic na Gwiazdkę - szepnęła. - Nie chcę ani nie potrzebuję niczego oprócz pewności, że za rok będziemy nadal wszyscy razem.

Cofnął się. Oczy miał ciemne i poważne. Musnął jej policzek i przytulił ją. Pocałował ją z taką czułością, że aż łzy stanęły jej w oczach. Wiedziała, że od wizyty u doktor Fielding jest pobudzona emocjonalnie, lecz jej reakcja nie z tego wypływała. Nie miała już wątpliwości. Zakochiwała się w nim, wpadała w tę otchłań z uśmiechem na twarzy i szeroko rozłożonymi rękami.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jazda do domu zajęła mniej niż pół godziny. Całą drogę Tamara wtulała się w niego niczym mruczący kot. Nigdy jeszcze nie czuł tak silnej potrzeby opieki nad drugą osobą. To znaczy, nad dwiema osobami. Dzięki Bogu, wyniki badań były błędne.

Tamara bardzo mu się podobała. Seksowna i bystra. Biorąc pod uwagę jeszcze niezłą równowagę pomiędzy indywidualizmem a uległością, trudno byłoby wątpić, że uczucia pomiędzy nimi rozwiną się w opokę, na której można oprzeć małżeństwo. Będzie dobrym i odpowiedzialnym ojcem dla tego dziecka, a kiedy się pojawią i jego własne...

Niech to szlag. Prawie zapomniał o spotkaniu dzisiejszego popołudnia związanym z testamentem. Teraz poczynienie pewnych zastrzeżeń stało się podwójnie ważne, choć Tamarze mogły się nie spodobać. Na pewno by ich nie zrozumiała. Nie mógł jednak pozwolić, by go to powstrzymało.

Gdy wysiadali z samochodu, poczuli krople deszczu.

- To chyba mój szczęśliwy dzień - powiedziała, obejmując go jedną ręką za szyję.

- Mój też - odparł, z bijącym mocno sercem.

- Czy moglibyśmy uczynić go jeszcze bardziej szczęśliwym? - spytała, muskając jego jabłko Adama. Wpatrując się w nią płonącymi oczami, położył jej dłoń na policzku.

- Czy mówimy o satynowych prześcieradłach?

- Nie muszą być satynowe.

- Postanowiliśmy poczekać.

W jej oczach błysnęło zwątpienie, ale przesunęła palcami po jego szyi, w górę, koło ucha, przeczesała mu włosy. Przechyliła głowę. Po raz pierwszy to ona szukała jego ust.

Całowała go z pasją, od której zagotowała mu się krew. Woń jej perfum dotarła w jego mózgu do pierwotnych rejonów, które zareagowały czysto instynktownie. Uśmiechnął się do pojawiających się w wyobraźni obrazów... czyste niebo i jednocześnie czysty grzech.

Cofnęła się, trzymając dłoń nad jego piersią.

- Dziś się przekonałam, jak nieprzewidywalne mogą być kaprysy losu. W jednej chwili płyniesz sobie pod pełnymi żaglami, pewien bezpieczeństwa, a wtedy... łups! Wszystko się rozpada, a ty pragniesz tylko odzyskać to, co było przedtem. - Popatrzyła mu w oczy. - Pragnę ciebie.

Kolejne spadające krople deszczu zawisły na jej rzęsach. Wyznanie czekało na reakcję. Nadzieja bijąca z jej oczu domagała się oczywistej odpowiedzi - nie „pragnę cię”, tylko „kocham”. Powinien to powiedzieć, nie tylko dla utrwalenia związku, ale i żeby ją uszczęśliwić.

Już miał jej powiedzieć, kiedy pojedyncze krople zniecka zmieniły się w rozszalałą ulewę. Odnalazł jej dłoń, chwycił mocno i pobiegli, rozchlapując wodę, w stronę okolonego pnącymi różami i zwieńczonego łukiem wejścia na tylną werandę.

Kiedy wsiadali do samochodu, zadzwonił do Ruth, by ją uspokoić. Teraz rozejrzał się i na blacie zobaczył swój ulubiony sernik. Zerknął na Tamarę, wskazał ciasto i mrugnął.

- Uwielbiam sposób myślenia Ruth.

Uśmiechnęła się, mimo dreszczy. Klimatyzacja była ustawiona na poradzenie sobie z przedburzowym, dusznym upałem, a Tamara ociekała wodą. Jej cienka sukienka oblepiała kształtne ciało jak folia. Pragnęła go, a on - do diabła z tradycją!
- zamierzał ją wziąć.

Otrząsnął się z uroku na tyle, by przynieść ręczniki. Gdy energicznie wycierał jej plecy, ramiona i piersi, przestała dygotać.

- Chyba mądrzej byłoby się pozbyć przemoczonych ubrań - powiedziała, uśmiechając się uwodzicielsko.

- Kiedy coś postanowisz, nie owijasz w bawełnę, nieprawdaż?
- Ja tylko myślę o Ruth. Kapiemy na jej wysprzątaną podłogę.
- Może powinniśmy kapać po drodze na basen.
- Obiecałeś satynowe prześcieradła.

Skrzywił się, udając niezadowolenie.

- To ty zasugerowałaś len.

- A ty dałeś mi ten pierścionek, który oznacza, że powinniśmy być szczęśliwi.

Uszczęśliw mnie.

Zawsze był pewien, że taka Tamara gdzieś się ukrywa. Dzięki niebiosom, że się w końcu ujawniła. Schylił się i wziął ją na ręce. Kiedy maszerował w stronę schodów i sypialni, jego przemoczone buty wydawały nieprzyzwoite dźwięki.

Kiedy w końcu odzyskała wzrok, cienie przesunęły się wyraźnie. O łukowate okno ocierała się gałąź. Wciąż jeszcze na fali satysfakcji przyjrzała się dziełom sztuki na ścianach - kilka pejzaży i jeden portret smutnego chłopca. W zamkniętej szklanej gablocie stało kilka kryształowych figurek jednorożców, wróżek i aniołów. Od kilku tygodni to była jej sypialnia. Wkrótce to wystawne wnętrze będzie miało swoją panią.

Palcami przeczesala mu pokrywające pierś włosy, schodzące trójkątem coraz niżej...

Roześmiał się lekko i złapał ją za rękę. Skrzywiła się, zamrugala, w końcu uśmiechnęła się.

- Ty masz łaskotki!

Odchrząknął, ale nie puścił jej.

- Tylko w tym konkretnym, rzadko odwiedzanym miejscu.
- Nie wyglądasz na człowieka mającego łaskotki.
- A jaki taki ktoś jest?
- Inny niż ty.
- Czyli nie choleryczny, skupiony i zdeterminowany.

- Nie samiec alfa, świetnie zbudowany i seksowny.

Przyciągnął ją do siebie, a ona wtuliła się w niego mocniej, z dłonią na jego piersi. Wiedziona nagłym impulsem przemaszerowała palcami kilka cali. Złapał je.

- Ani kroku dalej. Mężczyzna musi mieć jakieś sekrety.

- Którymi nie podzieli się nawet z żoną?

- Uwierz mi, niektóre rzeczy lepiej zatrzymać dla siebie.

- Tak sądzisz? - rzuciła ze złośliwym uśmiechem.

- Ty nie masz niczego, do czego wołałabyś się nie przyznawać?

Tamara zauważyła zmianę tonu. Jej myśli przeskoczyły na inny tor, spoważniała.

Lepiej zachować dla siebie... nie przyznawać się... Wróciła myślami do rozmowy z Ruth. Po usłyszeniu dziś całej historii, rozumiała o wiele więcej. Teraz jednak liczyło się tylko to, że są razem, jako para. A najbardziej, że dziecko jest bezpieczne.

- Dziękuję, że dziś ze mną byłeś - szepnęła.

- Chciałem. - Jego odpowiedź była pełna zdumienia. - Moje miejsce jest przy tobie.

Zrobiło jej się ciepło na sercu. Gdyby Marc to usłyszał, byłby spokojniejszy. Ale leżąc nago w ramionach Armanda, nie powinna się poświęcać takim wspomnieniom.

Pomyślała o przyszłości. Święta, urodziny, szkoła...

Nagle gwałtownie oparła się na łokciu.

- Lubisz baseball?

- Jasne - uśmiechnął się.

- A piłkę nożną?

- Niewielu mężczyzn jej nie lubi. A o co chodzi?

- Sobotnie wieczory spędzane na treningach...

- Pamiętaj, że wcale nie jesteśmy pewni chłopca.

- Dziewczęta też grają w piłkę nożną - przypomniała mu, ale zaraz błysnęła jej inna myśl. - Jak myślisz, w jakim wieku wprowadzisz go, czy ją, do De Luca Enterprises? - Roześmiała się. - Już widzę berbecia w krawacie za wielkim biurkiem!

- Do tego jeszcze daleko - powiedział Armand, uśmiechając się słabo.

- Do czego? Do berbecia czy do zarządzania firmą?

- Może nie mieć głowy do interesów.

Tamara się zachnęła. Tak jak ja nie mam do nich głowy? - pomyślała. Jednak co innego bardziej ją uderzyło.

- Czy coś mi umknęło? Tak jesteś skupiony na DLE, na tradycji, na dziedziczeniu... Sądziłam, że będziesz go uczył o giełdzie, zanim trafi do przedszkola, a od trzeciej klasy wtajemniczysz w vademecum „Jak wykończyć konkurencję”.

- Powinnaś przestać studiować portret mojego ojca - rzekł, poważniejąc całkowicie. - Zaczynasz mnie z nim mylić.

Poczuła się nieprzyjemnie. Dante był bezlitosny, tak w interesach, jak i w życiu prywatnym. Na pewno dzieciństwo Armanda było zdominowane przez rygorystyczne szkolenie mające na celu przygotowanie do przejęcia dziedzictwa. Jednak Armand postanowił, że nie powtórzy błędów ojca. Za to będzie mu zawsze wdzięczna.

- Przepraszam... Nie chciałam sugerować, że jesteś... - szukała słowa innego niż tyran.

Pocałował ją w czoło, odrzucił przykrycie i wstał. Znow się poczuła nieprzyjemnie, tym razem jeszcze bardziej.

- Dokąd idziesz?

- Mam spotkanie.

Teraz? Usiadła prosto i materiał spłynął jej do talii. Odnalazł spodnie.

- Bardzo bym chciał zostać, Tamaro, ale to jest bardzo ważne spotkanie. Nie mogę go odłożyć.

Naciągnęła prześcieradło na ramiona.

- Nie chciałam...

Zamilkła. Był zajęтым człowiekiem. Jednak pocieszenie znajdowała w myśli, że kiedy naprawdę będą go potrzebować, i ona, i dziecko, znajdą się na pierwszym miejscu. Dziecko, które, gdy dorośnie, będzie pomagać prowadzić DLE, wartą miliony firmę.

- Kiedy wrócisz do domu?

- Nie jestem pewien.

- Będziemy dalej rujnować moje łóżko czy spróbujemy z twoim?

Przyjrzał się pomiętemu materiałowi i zdarł z siebie koszulę.

- W gruncie rzeczy sędzę, że lepiej będzie, jeśli zaczekamy do wesela.

Zatkało ją kompletnie.

- Dlaczego? - zdołała wykrztusić.

- Wybacz, że do tego doszło. Lecz czy nie chciałabyś, by nasza poślubna noc była wyjątkowa?

Nie przeszkadzało mu powstrzymywanie się, kiedy ona już znów miała na niego ochotę? Łzy zakręciły jej się w oczach, a policzki spłonęły rumieńcem.

- Mów prawdę. Czy chodzi o tradycję? - Obraz jej się zamazywał. - Czy też o mnie?

- Nie będę kłamać. Byłaś fantastyczna. Lecz nasz następny raz nastąpi, gdy będziemy mężem i żoną. Będziemy się sobą dzielić na wszelkie możliwe sposoby i przypieczętujemy złożoną przysięgę.

- Boisz się, że nie wyjdę za ciebie, jeśli wcześniej „się sobą podzielimy” nieco za dużo?

Boże dopomóż, jej zraniona część naprawdę tak myślała. Może uważał swoją decyzję za romantyczny gest, ale ich pobytu w łóżku nie da się odwrócić. W jej mniemaniu teraz już było za późno, by się przejmować tradycyjnymi wartościami.

- Spóźnię się.

Znalazł pasek, zatrzymał się i wrócił do niej. Ucałował ją na pożegnanie, popatrzył na nią przez długą chwilę, a potem wyszedł.

- Mam zorganizować kolację? - zawołała za nim. - Może gdzieś pójdziemy?

Wychodził w nie najlepszym nastroju, ale wciąż jeszcze mieli do świętowania dobre wieści. Zawahał się w drzwiach. Z ręką na futrynie rzucił jej przez ramię przeproszające spojrzenie.

- Nie mogę obiecać, ale spróbuję.

Opadając na poduszki, starała się skupić na pozytywach. W łóżku pasowali do siebie, a za kilka dni nastąpi coś nieprawdopodobnego. Zostanie panią Armandową De Luca, a wkrótce potem urodzi się dziecko. Nikt nie mógłby chcieć więcej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Armand pękał z dumy, przyglądając się, jak jego poślubiona dwie godziny temu żona bryluje w tłumie gości zaproszonych na wigilijne wesele. Miała na sobie suknię w stylu empire, o czym się dowiedział dopiero, gdy sama mu to powiedziała. Obraz Tamary ze ślubu pozostanie mu w pamięci na zawsze. Niczym ulotna zjawa sunęła ścieżką przez ogród ku altanie, w której na nią czekał. Welon wyglądał jak ciągnąca się za nią całe mile falująca rzeka tiulu.

Ten welon owinęła sobie teraz wokół ręki. Zatrzymała się, by porozmawiać ze wścibską parą - gadatliwym facetem i jego żoną w bardzo zaawansowanej ciąży. Armand uśmiechnął się, słysząc dźwięczny śmiech.

Przyszło około osiemdziesięciu osób, dość skromne towarzystwo jak na weselne standardy. Armandowi bardzo odpowiadało ograniczenie liczby gości, zwłaszcza że Tamara o to prosiła. Pomimo plotek w tabloidach wcale się nie upajał przynależnością do „towarzystwa”. Wystarczała mu wiedza, jak w razie potrzeby nim manipulować.

Spotkali się spojrzeniami i Tamara się rozjaśniła. Kiedy uniosła smukły kieliszek napelniony bezalkoholowym gazowanym napojem, poczuł ukłucie winy.

Rozpoznał w niej piękną, młodą, zakochaną kobietę. Żałował, że nie potrafi odwzajemnić takiej głębi uczucia.

Musiał zachować kontrolę. Nieważne, jak by to było kuszące, nigdy więcej nie podda się tej sile mogącej w jednej chwili wynieść go pod niebiosa, a w następnej posłać w dół, ku katastrofie. Oznaczało to, że nie mógł dać Tamarze tej bajki, której pragnęła i na którą zasługiwała. Wątpił, by miał jakiegokolwiek kłopoty z udawaniem, że stracił dla niej głowę z miłości.

Przeprosiła swoje obecne towarzystwo i przytrzymując satynową spódnicę ruszyła w jego kierunku. Po drodze wzięła pod rękę starszą kobietę.

Armand pospiesznie poprawił swój czarny krawat i przywołał najbardziej czarujący uśmiech na twarz. Przywitał Elaine Kendle uściskiem dłoni i przygarnął bliżej żonę. Skradł jej pocałunek, mrużąc przy tym cicho:

- Jesteś piękna.

Policzki Tamary pokraśniały, a Elaine westchnęła głośno.

- Zawsze była. Wątpię, żebyś w ogóle znalazł dziewczynę ładniejszą od Tammy. - Położyła spracowaną dłoń na spowitej w tiul ręce córki i oczy jej zabłyśły. - Tak się cieszę, że wszystko się udało.

- A ja się cieszę, że przyszedłeś.

Jasno z tego wynikało, że wcale nie była pewna, czy matka się pojawi.

Armand i Elaine mieli mały sekret - by jej ułatwić decyzję, zapłacił za jej bilet lotniczy oraz dorzucił okrągłą sumę na strój i inne niezbędne wydatki.

Zarezerwował też nocleg w hotelu, podobnie zresztą jak i dla pozostałych gości, choć nie spodziewał się tłoku.

Elaine cofnęła się, ukrywając emocje pod gestem wygładzania spódnicy.

- Wciąż studiujesz, Tammy? Pewnie już prawie kończysz.

Tamara zamrugała, najwyraźniej zaskoczona i ucieszona, że Elaine pamiętała o tym.

- Za miesiąc mam egzamin. Potem jeszcze dwa przedmioty do zaliczenia i dostanę dyplom.

- Bardzo sobie wzięłaś te studia do serca - powiedziała powoli Elaine. - Jestem dumna, że to kontynuujesz. W twojej sytuacji niejedna dziewczyna by zrezygnowała.

Zapadła niezręczna cisza. Armand zorientował się, że obie kobiety rozważały, jak odmienne wiodą życie.

Jedna z nich ledwie wiązała koniec z końcem, bo wybrała poświęcenie się dla bliskich, druga niedawno straciła wszystko, zachowując tylko pragnienie osiągnięcia czegoś, co było cechą definiującą człowieka sukcesu.

Oczywiście Tamara nigdy nie będzie musiała wykorzystywać tego dyplomu. Kiedy pojawi się dziecko, a potem następne, będzie miała mnóstwo roboty. Szanował jej ideały, tak samo powody, dla których tak twardo dążyła do osiągnięcia niezależności. Jednak obecnie jej życie się zmieniło i był pewien, że z czasem zrozumie, że praca poza domem może zniszczyć szczęśliwe życie rodzinne. A tego nikt nie chciał.

Elaine upiła łyżeczek szampana, uśmiechając się lekko.

- Ja też ukończyłam kurs.

- Naprawdę?

- W zeszłym tygodniu otrzymałam dyplom. Nie chciałam nic mówić, zanim nie będę całkowicie pewna. Macie przed sobą dyplomowaną organizatorkę wesel. - Rozejrzała się dookoła. - Ciekawy zbieg okoliczności, nieprawdaż?

Tamara zapiszczała z radości i objęła matkę.

- Teraz moja kolej, by wyznać, że jestem dumna. Nie potrafię powiedzieć jak bardzo.

Elaine ponownie poklepała córkę po plecach i powoli wysunęła się z jej objęć.

- Bardzo dużo czasu zajęło mi nauczenie się jednej wielkiej prawdy: każdy ma wybór. - Wzruszyła lekko ramionami. - Ty zawsze to wiedziałaś, prawda, Tammy? I dziś dokonałaś najlepszego możliwego. Złożyłaś przysięgę, której dotrzymasz do końca życia. - Pochyliła się w stronę Armanda i mruknęła groźnie: - Ani mi się waź pozwolić jej odejść!

- Wierz mi - uśmiechnął się - nie mam najmniejszego zamiaru.

Zadowolona z jego reakcji Elaine odetchnęła głęboko i popatrzyła na bufet.

- Chyba wezmę sobie odrobinę tego smakowicie wyglądającego deseru. Nigdy jeszcze nie słyszałam o serniku weselnym - oznajmiła i odeszła.

- Tylko w górnej warstwie - sprecyzował Armand - co, moim zdaniem, jest totalną katastrofą. Ciasto owocowe jest stanowczo przereklamowane.

Tamara roześmiała się, a on wziął ją za rękę.

- Jest miła - zauważył, patrząc jej prosto w oczy.

- Zawsze taka była. Tylko trudno było trafić na moment, gdy i była w domu, i czuła się szczęśliwa, i nie usiłowała złapać trochę snu.

- Organizatorka wesel - uśmiechnął się. - Wydaje się, że kiepskie czasy naprawdę ma już za sobą.

I tak zamierzał zadbać o interesy Elaine; rodzina Tamary była teraz również jego rodziną.

Tak samo jak Tamarze w okresie dorastania brakowało mu rodziny. Po farsie, jaką były zaręczyny z Christine Sawyer, odsunął na bok cel, który dręczył go przez lata. Nigdy nie będzie się mógł cieszyć przyjaźnią, jakiej doświadczają bliscy sobie bracia, choć częściowo rozumiał dlaczego „Marc Earle” wyrzekł się nazwiska, z którym przyszedł na świat, a potem odrzucił oferowany przez Armanda udział w firmie.

Skrzywił się lekko. Z Markiem nie mógł zrobić już nic. Jasnowłosego syn Angeli odszedł na zawsze. Za to dzisiaj „ciemny książę” odzyskał to, co stracił wiele lat temu - rodzinę. Miał żonę, którą będzie trzymał jak najbliżej siebie i wielbił, oraz dziecko, które zajmie należne mu miejsce w strukturach rodu De Luca, a w końcu będzie dziedziczyć. Oczywiście nie tyle, ile jego własne dzieci.

Skrzywił się lekko. Lecz kiedy już wszystko zostało powiedziane i załatwione, udział, jaki miał na myśli, na pewno był sowity. Kiedy nadejdzie właściwy czas, Tamara zrozumie. Oczywiście dzieci z ich związku, spłodzone przez niego, będą dziedziczyć więcej. Tak już ten świat jest urządzony, tak być powinno.

- Powiedziałaś matce o dziecku?

Zerknęła na Elaine rozmawiającą z interesującym mężczyzną.

- Myślałam, żeby zachować tę niespodziankę na później - zmrużyła oczy - ale podejrzewam, że ona już wie.

- Może dlatego, że jesteś taka promieniejąca - zasugerował.

Zarumieniła się.

- Po każdej panie młodej wszyscy się spodziewają emanowania szczęściem.
- Ale nie takim, jakim ty emanujesz. - Przysunął się bliżej. - Nawet lekkie dotknięcie ciebie jest jak porażenie prądem. Wyobraź sobie, co będzie za godzinę...

Spoważniała.

- Po tamtym popołudniu, spędzonym razem, byłam bardzo zła, gdy powiedziałeś, że powinniśmy poczekać. - Spuściła wzrok. - Teraz jednak cieszę się, że tak zrobiliśmy.

Pewien, że nikt nie będzie mu miał tego za złe, pocałował żonę, długo i namiętnie.

- W czasie naszego miodowego miesiąca - wysapał z uśmiechem - będziesz miała powyżej uszu mnie ciągnącego cię do sypialni.

Jak i przez długie lata później...

- W Phuket są piękne plaże. Na pewno chętnie czasem zmienię pościel na piasek.

Odetchnął głęboko, wyobrażając sobie świeże aromaty tajlandzkiego raj.

- Księżyc lśniący nad morzem, lekko kołyszące się pióropusze palm. Widzę to.

- Bardzo to pociągające? - spytała, przechylając głowę.

- Ogromnie - potwierdził.

- Mnie też widzisz?

- Wyraźniej niż cokolwiek innego.

- Co mam na sobie?

- Oprócz kwiatu we włosach, jak myślisz? - Dopił drinka.

- Cudowny wieczór, Armandzie!

Nagle zeszywniał, gdy Matthew Mohill wynurzył się zza grupki gości. Prowadził pod rękę atrakcyjną blondynkę. Niezbyt szczęśliwy Armand musiał powrócić z Phuket do grzecznościowych formułek.

- Pozwólcie, oto moja żona, Tamara.

- Bardzo miło mi cię poznać. - Uśmiech Matthew mógł być szczery. Ujmując jej dłoń, spostrzegł rubin i uniósł brwi.

- Armandzie... - Uśmiechnął się bez krzty humoru. - Jestem nieco zaskoczony. Ten pierścień niezbyt dobrze się kojarzy.

Armand poczuł, jak zalewa go krew. Jak mógł kiedyś uważać tego człowieka za przyjaciela?

- Teraz już tak - wydusił z trudem przez zaciśnięte zęby.

- Armand opowiedział mi o swojej przeszłości. - Tamara z czułością popatrzyła mężowi w oczy. - Od pierwszego wejrzenia zakochałam się w tym rubinie.

Matthew przez kilka chwil rozważał usłyszane informacje, a potem odwrócił się energicznie do swojej towarzyszki.

- Chyba żadne z was nie zna mojej żony.

Energiczna, drobna Evie zrobiła szybki krok w ich stronę.

- Przepiękna ceremonia! Wspaniała oprawa, te wszystkie letnie kwiaty, znakomita pogoda. Tak się cieszę, że nie było za gorąco. A to wypuszczenie motyli z renesansowych urn na koniec... - Westchnęła przeciągle.

- Pomyślałam, że to może być miły akcent - wyznała Tamara z uśmiechem.

- To twój pomysł? - Evie zamrugła zdumiona.

Armand wykorzystał okazję, by wesprzeć żonę.

- Tamara zorganizowała wszystko, również fajerwerki zaplanowane na koniec dzisiejszego wieczoru.

- Chyba masz do tego dryg, Tamaro. - Evie zachichotała. - Może powinnaś założyć własny interes?

Armand zachnął się, choć nie sądził, by ta złośliwość była zamierzona. Evie popatrzyła na Matthew z takim samym uczuciem, jakie on widział u swej żony kilka chwil temu.

- Nasz ślub też był piękny, prawda, kochanie? Na plaży, mieliśmy girlandy kwiatów zawieszane na szyi. Wyglądałaś tak przystojnie.

Armand uniósł brew. Jej przywiązanie było prawdziwe. W dodatku za żadne skarby nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ta kobieta była zdolna nakłonić Matthew do rozpoczęcia wojny w firmie. O wiele bardziej przypominała gołębia niż jastrzębia.

- Mamy jeszcze pewną nowinę - odezwał się starszy mężczyzna, zwracając się do nowożeńców. - Pierwsi się dowiadujecie. Evie jest w ciąży.

- Co takiego?

- Będziemy mieli dziecko, Armandzie. - Matthew zachichotał. - Może nawet dwoje?

- Bliźnięta często się zdarzają w mojej rodzinie - dodała Evie z błyszczącymi oczami. - Najbardziej byśmy chcieli od razu i chłopca, i dziewczynkę. Już wybraliśmy imiona.

Pokój zawirował... kandelabry... kelnerzy... lecz Armand widział tylko cienką, górną wargę Matthew układającą się w złośliwy uśmiezek: „A tu cię mam!”.

Tamara zrobiła coś, do czego Armand nie był w tej chwili zdolny. Podeszła i uściskała młodą żonę Matthew.

- Gratuluję - powiedziała bardzo szczerze brzmiącym głosem. Evie była osobą, której nie dało się nie lubić. - Kiedy masz termin porodu?

- Jestem prawie w piętnastym tygodniu.

Tamara aż się zachłysnęła.

- Naprawdę?

Armand uścisnął ją za ramię, dając znak, by zachowała milczenie. Ich dziecko było w tym samym wieku. Wrogów należy trzymać bardzo blisko siebie, a najlepsze karty schować w rękawie, czekając na okazję do zaskakującego ataku.

Wiedział, co Matthew planuje. Dokładnie o dziewiątej w dniu urodzin Armanda przedłoży wszelkie wymagane dokumenty niezbędne do wypełnienia wa-

runków postawionych w klauzuli testamentu Dantego potwierdzających, że nie ma żadnego dziecka z rodu De Luca i pakiet kontrolny firmy pozostanie w rękach powiernika, o ile ten sobie tego życzy.

O ironio, Dante ufał Matthew jak bratu, że ten postąpi uczciwie wobec jego syna. Ta klauzula miała być tylko mocnym kuksańcem dla Armanda, skłaniającym go do małżeństwa i zapewnienia, że DLE pozostanie w rękach rodziny. Lecz ten rzekomy przyjaciel rodziny odezwał się teraz, patrząc wyzywająco na Armanda:

- Rozmawialiśmy z Rileyem Petersem i Jackiem Gibsonem. To członkowie rady nadzorczej - wyjaśnił Tamarze. - Zauważyli, jak dobre były ostatnie wyniki finansowe.

Armand uśmiechnął się sztywno.

- Miło słyszeć, że nie ma zastrzeżeń do zarządzania firmą.

Matthew zrobił nieszczęśliwą minę.

- Słyszałem pogłoski o niezadowoleniu z ekspansji.

- Słyszałeś czy rozpuszczałeś? - pokazał kły Armand.

- Ja tylko informuję, jak jest, synu - odparł Matthew, udając skrzywdzonego.

Armand chciał zaprotestować przeciwko zwracaniu się do niego per „synu”, ale już wystarczająco został zmanipulowany. Wesele to nie miejsce na wykładanie kart na stół.

- Wybaczenie, proszę - zaczęła Tamara - ale przyjaciółki do mnie machają, a jeszcze się dziś z nimi nie widziałam. To Kristin i Melanie - zwróciła się do Armanda, który skinął głową. Tamara uścisnęła Evie dłoń. - Najlepsze życzenia dla dziecka. To taki ekscytujący okres w życiu.

Gdy zaczęła odchodzić, Matthew uklonił się sztucznie.

- Też zamierzałem trochę pokrażyć wśród gości, ale najpierw powinienem powiedzieć, że Barclays również świetnie wypadł.

Armand upuścił kieliszek, który odbił się raz, a potem roztrzaskał. Tamara zastygła w pół kroku. Odwróciła się z dziwnym wyrazem twarzy. Kelner pospiesz-

nie zaczął sprzątać rozlany trunek. Evie cofnęła się, ochronnym gestem kładąc dłoń na brzuchu, a Matthew strzepnął z klapy nieistniejący pyłek.

- Czy ja dobrze słyszałam?

Matthew go wystawił. Powinien był się czegoś takiego spodziewać. Powiernik przyjrzał się dokładnie przeszłości jego żony w nadziei znalezienia jakiegoś haczyka. Dowiedział się, że to Barclays była firmą, która kilka miesięcy temu odmówiła zapłacenia faktury wystawionej przez Tamarę.

Co jeszcze wiedział?

- Wspomniałem - odpowiedział Matthew, kierując się ku Tamarze - że Barclays wypadł wyjątkowo dobrze. To wielka sieć sklepów z narzędziami - dorzucił.

Naiwna Evie skinęła głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Czyżbyś, kochanie, miał jakieś udziały również w zależnych firmach?

Oszołomiona Tamara, z poszarzałą twarzą, odstawiła kieliszek na tacę przechodzącego kelnera.

- Barclays... - Popatrzyła na Armanda z błaganiem w zielonych oczach.

Przytrzymał ją za chłodną rękę i rzucił Matthew mordercze spojrzenie. Nie. Gorsze. Z nadludzkim wysiłkiem zdołał spokojnie zwrócić się do jego żony:

- Miło było cię poznać, Evie.

Poprowadził Tamarę w spokojniejsze miejsce, do półokrągłej alkowy ze stołem zasypanym ślubnymi prezentami. Tam odezwała się drewnianym głosem:

- Matthew powiedział, że Barclays jest firmą zależną od DLE. - Zaśmiała się krótko, z histeryczną nutą. - Myli się - uniosła brwi - prawda?

- To nie czas na takie rozmowy. Wrócimy do tego później. - Uścisnął ją za ramiona. - Chcę cię tylko zapewnić...

- Wiedziałaś, tak? - przerwała mu beznamiętnym tonem, z pustymi oczami. Armand skręcał się wewnętrznie, aż jęknął.

- Nie wiedziałem.... z początku.

Tamara poczuła się jak ugodzona pociskiem.

- Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś?

- To nie takie proste.

- Oczywiście. - Jej oczy wypełniły się bólem.

W tym momencie dotarł do nich wysoki, ostry damski głos:

- Tamaro! O mój Boże, wyglądasz jak księżniczka z bajki!

Armand odsunął się na bok, z szaleńczo bijącym sercem. Kristin czy też Melanie uściskała Tamarę, która zareagowała na to z wigorem szmacianej lalki. Któraś z bliźniaczek wyciągnęła rękę do Armanda.

- Jestem Kristin - oznajmiła i wskazała na drugą. - Moja siostra, Melanie.

Chciałyśmy tylko powiedzieć, jak się cieszymy. Nikt bardziej od naszej przyjaciółki nie zasługuje na szczęście.

Przywołał na twarz odpowiedni uśmiech.

- Dziękuję za przyjęcie naszego zaproszenia. Bardzo się cieszymy, że dzielicie z nami ten dzień.

Rozmawiali kilka minut. Tamara była przygaszona, ale gdy nieco odzyskała rezon, Armand przeprosił towarzyszkę z ukłonem i ruszył na poszukiwanie Matthew. Wesele czy nie, nadszedł czas na wyłożenie kart.

Rozejrzał się po sali. Matthew okazał się nie tylko sprytny, ale i bystry. Zniknął, pozostawiając Armandowi rozplątanie tego gordyjskiego węzła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stojąc na balkonie, Tamara patrzyła w dal ponad uśpionym portem. Objęła się mocno ramionami, próbując opanować dreszcze. Lekka bryza od morza nie mogła ich wywołać, nawet biorąc pod uwagę jej skąpy strój. Było parno - typowa australijska świąteczna pogoda.

Wyszła z wesela czterdzieści minut temu i udała się wprost do swojego apartamentu. Zrzuciła suknię i zafundowała sobie długi, zimny prysznic. Woda nie zmyła upokorzenia. Jak Armand mógł zataić przed nią tę informację?

Drzwi apartamentu otworzyły się gwałtownie. Wstrzymała oddech. Usłyszała delikatny trzask zamka. W wyobraźni obserwowała rozzłoszczonego męża przechodzącego przez pokój. Zamknęła oczy i czekała. To ona, nie Armand, powinna być wściekła.

Mimo że stała tyłem do pokoju, poczuła jego obecność, gdy stanął w drzwiach balkonu. Z bijącym mocno sercem odwróciła się powoli, mocniej otulając się szlafrokiem.

Armand zdawał się nie dostrzegać jej powiewnego, szyfonowego stroju. Oddychał głęboko, a jego intensywny wzrok przewiercał ją na wylot. Zazwyczaj ułożone włosy miał w nieładzie, marynarkę rozpiętą, a krawat rozluźniony i przekrzywiony. Nigdy nie wyglądał bardziej nieporządnie... i przystojnie.

- Wyszłaś, nic mi nie mówiąc - odezwał się głębokim, napiętym, prawie groźnym głosem.

- Wytrzymałam do połowy pokazu fajerwerków. - Uniosła brodę. - Chyba powinno mi się tego pogratulować.

- Mówisz o swoim weselu - odparł, ukrywając niesmak - jakby to był wyrok śmierci.

- Mam nadzieję, że jest inaczej.

- Zatrzymał mnie pan Zheng, ten chiński biznesmen, któremu cię przedstawiłem.

Tamara skinęła głową. Kiedy Armand się dowiedział, że pan Zheng będzie w Australii w dniu wesela, wysłał mu zaproszenie. Teraz przez chwilę walczył ze sobą.

- Próbowałem mu się urwać... Chciałem wyjść... - Oparł się o barierkę. - Nie mogę sobie pozwolić na urażenie go.

W tej chwili partnerzy biznesowi w ogóle jej nie obchodzili i jego też nie powinni. Postanowiła wrócić do tego punktu rozmowy, w którym przerwały im bliźniaczki.

- Dlaczego, u diabła, nie powiedziałeś mi, że DLE jest właścicielem Barclays?

- Tamaro, nie jest żadną tajemnicą, że posiadamy znaczącą część tej sieci sklepów. DLE ma udziały w wielu firmach. - Popatrzył jej w oczy. - Nie wiedziałem, że to Barclays odmówiła uregulowania twojej faktury.

Przez chwilę rozważała jego słowa. Spojrzenie miał szczere. Odetchnęła mocno. Okej, kiedy się spotkali, nie wiedział o związku pomiędzy nadużyciem w podległej firmie i jej bankructwem. Lecz gdy tylko poznał prawdę, powinien był jej natychmiast o tym powiedzieć.

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Tego samego dnia - wyjaśnił, opierając się na barierce szeroko rozstawionymi rękami - gdy odkryłem przeniewierstwo Matthew. Zastanawiałem się, czy ci powiedzieć, ale wahałaś się, co robić. Obawiałem się, że wyciągniesz błędne wnioski, że niewłaściwie to zrozumiesz.

- A nie przyszło ci do głowy, że przyjmę to jeszcze gorzej, jeśli się sama dowiem?

Łzy zakręciły jej się w oczach. Nie zdołała opanować gwałtownego rumieńca, gdy przypomniała sobie triumfalny błysk w lodowatych oczach Matthew. Armand

miał rację. Wszelka przyjaźń pomiędzy nimi zginęła, gdy powiernik wykonał ruch w kierunku przejęcia całkowitej kontroli.

Jakie to niedorzeczne. Trwająca całe życie przyjaźń poświęcona dla pieniędzy, których obaj mieli aż za dużo. Jakież to absurdalne, że Matthew cenił sobie materialne korzyści wyżej niż wieloletnią przyjaźń, którą tak łatwo zlekceważył. Posunąłby się do wszystkiego, byleby tylko osłabić pozycję Armanda.

- Potrafisz sobie w ogóle wyobrazić, czym było dla mnie odkrycie, że mój od kilku godzin mąż, człowiek, któremu zaufałam, oszukał mnie?

- Czy ten negliz miał być podpowiedzią?

Zakłęła w duchu, czując falę gorąca wywołaną jego pochlebnym spojrzaniem, i otuliła się szczelniej.

- Nie zmieniaj tematu.

- Nie uważałem tego za oszustwo - tłumaczył się, przechylając głowę. - Nie chciałem cię stracić.

Jedna z drzazg tkwiących w jej sercu znikła, ale inne pozostały. Pragnęła, by dzisiejszy dzień był idealny, a wieczór i noc niezapomniane. Tymczasem kłócili się.

Alternatywą było wybaczyć mu, spróbować zrozumieć, tylko że nie była pewna, czy jest na to gotowa.

- Małżeństwo oznacza wspólne podejmowanie decyzji. Szacunek. Szczerłość. To są tradycyjne wartości, według których chciałeś żyć. - Oczy zaszyły jej łzami. - Czyżbyś nie wierzył w złożone dziś obietnice?

Ona wierzyła całym sercem. Kiedy wypowiadał te słowa, a ona je powtarzała, ledwie była w stanie mówić z emocji - nie z obawy, że podjęła złą decyzję, tylko z pewności, że robi dobrze. Jej największe marzenie się spełniało. Kochała Armanda, jak żona winna kochać męża, całym sercem. Dała z siebie wszystko tylko po to, by odkryć, że on nie odpowiedział tym samym.

- Oczywiście, że wierzę w naszą przysięgę. Chciałem cię tylko uchronić przed dodatkowym bólem.

Potarł kciukiem jej nadgarstek i buzująca w niej złość zelżała nieco. Chciała być kochana. Jednak może nawet bardziej pragnęła się liczyć, pragnęła, by ją zauważano i jej słuchano. Nie była niewidzialna. Już nigdy nie pozwoli się tak potraktować.

- W tej historii straciłam dom.
- Kupię ci zamek na południu Francji.
- Nie chcę żadnego zamku - westchnęła ciężko.

Ściskając jej dłoń, obrócił ją pod ramieniem w tanecznym pas, tak że znalazł się za nią, obejmując ją obiema rękami w pasie. Szepnął jej do ucha:

- Księgowy Barclays był imbecylem. Już go nie ma.

Lekko skubnął wargami jej ucho.

- Jeśli robi ci to jakąkolwiek różnicę, to dołożyłem sumę, którą ci byłem winien, do twojej pierwszej tygodniówki.

Aż zadygotała. Próbowwała się obrócić twarzą do niego, ale trzymał ją zbyt skutecznie. Odwróciła głowę w bok, ile się dało.

- Tygodniówka?! To brzmi, jakbym była utrzymanką!

- Jesteś moją żoną. - Potarł brodą jej policzek. - Sądziłaś, że nie będę o ciebie dbał? - Pocałował ją w skroń, aż zrobiło jej się ciepło w środku. - Wiesz, jak bardzo mi zależy na dziecku, prawda?

- Tak, wiem.

Zależało mu, lecz czy kochał ich oboje? Ją w taki sam sposób jak ona jego? Przez ostatnie tygodnie jej uczucie rosło, bardziej już nie mogło. Być może właśnie dlatego jego powstrzymywanie się przed okazaniem czegoś bardzo istotnego tak bardzo bolało.

Zsunął dłoń z jej ramienia, razem ze szlafrokiem i ramiączkiem negliżu. Pochylił się, by ją pocałować w odsłonięte miejsce.

- Nie kłóćmy się. Nie chcesz się cieszyć nocą poślubną?

Oczywiście, że chciała. A jego bliskość i pieśczoły sprawiały, że nie byłaby w stanie temu zaprzeczyć. Jej zdenerwowanie było uzasadnione. Żałował, że ją zranił. Nie zrobi tego więcej. Lada moment wyzna, że ją kocha. Była tego pewna.

Zsunął drugie ramiączko. Kiedy się odwróciła, by go objąć, szlafrok spłynął na podłogę. Miejsce Tamary było z Armandem. Pomimo tego, co się dzisiaj wydarzyło, nigdy niczego nie była bardziej pewna.

Kocham cię.

Te słowa odbijały się echem po jej głowie, coraz głośniejsze, wyraźniejsze z każdym dotknięciem z każdą pieśczołą. Dlaczego jeszcze tego nie powiedział? Teraz była na to pora.

Czuła się jednocześnie ociężała i niemal nieważka, pełna życia i wyzuta z ostatnich okrucich energii. Westchnąwszy z pełnym satysfakcji uśmiechem, przecesała mu palcami włosy. Jęknął ponownie i poszukał ustami jej ucha i szyi, mruczając jej imię, napełniając ją nieopisanym ciepłem i spokojem.

Z każdą sekundą jej euforia malała. Leżała, wpatrzona w ciemność, czekając na coś więcej. Na więcej słów. W końcu poruszył się. Ze ściągniętymi brwiami przyglądał się jej oczom, twarzy, a potem przygarnął ją bliżej do szerokiej, mocnej piersi, jedną ręką przytrzymując jej ręce na jej brzuchu. Panująca cisza powinna być komfortowa, spokojne tętno powinno dopełniać jej satysfakcję, pomimo to jednak policzki zaczęły ją palić.

Nie zamierzał tego powiedzieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Armand zatrzymał się raptownie przy wejściu do pokoju dzieciennego. Jego dwa tygodnie temu poślubiona żona stała pośrodku, pogodnie przyglądając się łóżeczku.

Ubrana w miękką, żółtą luźną sukienkę, zdawała się całkowicie pochłonięta delikatnym dotykaniem siatki.

Za każdym razem gdy ją widział, czuł to samo pragnienie. Tym razem też. Ta reakcja narastała z każdym dniem.

Z coraz mocniej bijącym sercem podszedł do niej od tyłu i uściśnął ją za ramię. Odwróciła się gwałtownie, jakby to sam czart rzucił jej się do gardła. Złapała się ręką za serce i zachłysnęła z przestachu, dopiero po chwili w jej oczach błysnęło rozpoznanie.

- Armand... Przestraszyłeś mnie prawie na śmierć!

Niech to szlag. Chciał ją zaskoczyć, nie przerazić.

Objął ją i pocałował.

- Wybaczysz?

- Tym razem niech ci będzie. Wcześniej dziś wróciłeś.

- Musiałem się zobaczyć z żoną. - Gem, set, mecz. Nie było co już dłużej udawać. Uzależnił się od niej.

Objęła go za szyję i przytuliła się.

- Najlepsza wiadomość w tym tygodniu.

W jej oczach znalazł nadzieję i zaufanie. Zdusił ukłucie winy.

- Jak dziecko?

- Znów się poruszyło - odparła z rozjaśnioną twarzą.

Wzięła go za rękę i położyła sobie jego dłoń na brzuchu. Czekał, skoncentrowany, potem potrząsnął głową.

- Nic nie czuję.

- Wrażenie jest takie, jakby mała rybka pływała tu i tam.
- Dziwnie to brzmi - powiedział, zabierając dłoń.
- Ale jest cudowne. - Objęła brzuch obiema rękami. - Czasem mam ochotę się uszczypnąć. Trzy miesiące temu nie miałam pojęcia co robić, moje życie się rozsypało. - Wzruszyła ramionami. - A teraz jestem szczęśliwą mężatką.

Znów poczuł przepaść rosnącą pomiędzy nimi. Rozdźwięk, który powinien wypełnić wyznaniem miłości. Chciał to zrobić, nie było żadnych przeciwwskazań. To tylko słowa. A im dłużej je powstrzymywał, tym wyraźniej widział w jej oczach dwa małe znaki zapytania, które tkwiły w nich od nocy poślubnej.

- Co się dziś wydarzyło? Jakies wieści na temat Chin?

- Rozmawiałem z panem Zhengiem. - Wsunął ręce do kieszeni spodni. -

Robimy szybkie postępy.

- A co Matthew na to mówi?

- Matthew miał bardzo dużo do powiedzenia. - Podeszedł do niej. - Do chwili, gdy postanowiłem ujawnić naszą sytuację.

- Powiedziałeś mu, że jestem w ciąży?

- I z wielką przyjemnością powiadomiłem go, że termin porodu wypada przed moimi urodzinami. Zakończyłem, mówiąc, że jeśli nawet dziecko urodzi się po terminie, będę walczył z nim na śmierć i życie, by nie dopuścić do zatrzymania powierzonych mu udziałów. - Przesunął krzeselko w domku dla lalek bliżej okna. - Jeśli postanowi wypowiedzieć mi wojnę, potrwa to długo i będzie bardzo kosztowne. Jest znakomitym prawnikiem i wszędzie ma znajomości, ale nie mam najmniejszego zamiaru paść na grzbiet i prosić o łaskę.

Przesunęła maleńki mebel z powrotem.

- Założę się, że osłupiał.

- Prawdę mówiąc, podejrzewam, że się tego spodziewał, tak dziecka, jak i mojego wyzwania.

- Złożył rezygnację?

Armand ponownie przestawił maleńkie krzeselko. Lepiej pasowało do miejsca przy oknie.

- Nie jest gotów się poddać. Być może będę musiał zdobyć poparcie innych członków zarządu i wtedy zażądać, by ustąpił ze stanowiska. Niech sobie zatrzyma udziały, byle tylko nie miał żadnej władzy.

Poprawiła maleńką wycieraczkę przed domem dla lalek.

- Jakże smutno jest w taki sposób kończyć przyjaźń.

Armand przyglądał się profilowi jej zamyślonej twarzy. Choć nie mógł już liczyć na przyjaźń Matthew, potrafił, przynajmniej po części, zrozumieć motywy jego zdrady. Mógł być dla niego jak bratanek, może nawet jak syn, lecz starszy mężczyzna miał teraz własne dziecko, na którego przyszłości mu zależało. Spostrzegł życiową szansę i skorzystał z niej.

Dante obu ich świetnie wychkolił. Choć tym razem zasada lojalności wobec swoich wychodziła mu bokiem, Armand nauczył się ją szanować. Koszula zawsze bliższa ciału. Tak już na tym świecie jest. I tak powinno być. Zacisnąwszy szczęki, zmusił się do myślenia o czymś innym. W końcu był w domu i zamierzał się cieszyć towarzystwem pięknej żony. Objął ją w pasie i pociągnął za sobą. Sypialnia czekała.

- Nie rozmawiajmy o nim. Co robiłaś?

- Uczyłam się do egzaminu.

- Powinnaś zatem odpocząć.

Czekał. Ciekawe... Nie zgodziła się, ale i nie zaprotestowała. Niewątpliwie w miarę zbliżania się porodu myśl o pracy poza domem musiała się stawać coraz mniej pociągająca.

Nagle zatrzymał się w pół kroku, by raz jeszcze obejrzeć opuszczone pomieszczenie.

- Właściwie co tu robiłaś? - zapytał ze śladem uśmiechu w kącikach ust.

Też się uśmiechnęła i zatrzymała, by mu poprawić krawat.

- Rozmyślałam o tym, że wkrótce dziecku będzie potrzebne nowe meblowanie. One tak szybko rosną.

- Wykorzystamy to, co jest, dla następnego czy wymyślimy coś nowego?

- Ile dzieci chcesz mieć? - zapytała, rzucając mu spojrzenie najpierw zdziwione, a potem pełne uwielbienia.

- Troje to chyba właściwa liczba.

Objęła go, wtulając policzek w jego pierś.

- Tak się cieszę, że moje dziecko nie będzie jedyne. Że będą siostry i bracia, których będzie mogło kochać i się z nimi bawić.

W okresie dorastania on miał tak wiele, a ona tak mało, obojgu jednak brakowało najważniejszej rzeczy - więzi. Prawdę mówiąc, będąc chłopcem, czasami czuł się rozdarty na dwoje, dopóki się nie nauczył tłumić takie emocje. Lecz gdy to dziecko znajdowało się w drodze, myśli o rodzeństwie, o rodzinie - prawdziwej rodzinie - pojawiały się coraz częściej. A zwłaszcza dziś u prawnika naszły go tak gwałtownie, że prawie złamał trzymany w dłoni długopis.

- Ciekawe, czy to prawda?

Armand ocknął się z zamyślenia.

- Co jest prawdą?

- Wiedziałeś, że najstarsze z rodzeństwa mają większe szanse na zdolności przywódcze i sukcesy w tej dziedzinie?

Skrecając się wewnątrz, poprowadził ją do drzwi.

- Znalazłam to dziś rano w internecie - ciągnęła. - Jakaś słynna profesor przeprowadziła badania inteligencji. Stwierdziła, że spośród trzystu znanych osobowości dwudziestego wieku czterdzieści procent było pierworodnymi dziećmi.

- Nie wiem - mruknął - czy to ma zastosowanie w tej sytuacji.

Zatrzymała się i roześmiała.

- A dlaczego nie?

- A jak myślisz?

- Armand - roześmiała się ponownie - gdybym wiedziała, nie pytałabym.

Zaczął mu się robić gorąco. Matko miłosierna, wcale nie chciał teraz takiej rozmowy, tylko że sądząc po jej zaciekawionym i zdeterminowanym wzroku, mógł nie zdołać tego uniknąć.

- Reguła najstarszego z rodzeństwa może nie mieć zastosowania, bo będą miały inne... - geny? Krew? Ojców?

- Och, Armandzie, nie musisz się martwić.

Aż mu zabrakło tchu. Wcale nie było to łatwe, ale musiał jasno zaznaczyć swoje stanowisko, przypomnieć o nieuniknionych faktach.

- Rozumiesz... zawsze będzie... - szukał właściwego słowa, ale znalazł tylko jedno - różnica pomiędzy nim a pozostałymi.

Wspięła się na palce i pocałowała go lekko.

- Nie będzie żadnej różnicy. Nie powinieneś w to wątpić. Będiesz wspinałym ojcem dla tego dziecka, tak samo jak dla wszystkich następnych. Żadne też nie będzie cię kochać mniej niż pozostałe, obiecuję.

Coś ścisnęło go w środku tak, że trudno mu było oddychać. Ona sądziła, że się martwił o to, czy to dziecko będzie miało dla niego mniej uczucia niż dla biologicznego ojca? To możliwe. Po tym, co wczoraj zrobił, być może nawet prawdopodobne. Lecz takie posunięcie było nieuniknione.

- Mam ultrasonografię przed wizytą kontrolną - powiedziała, ujmując go za rękę. - Doktor Fielding uprzedziła, że tym razem zobaczymy więcej niż poprzednio. Być może nawet zdoła rozpoznać płeć.

Koniecznien trzeba wyjaśnić sytuację. Musi to z siebie wyrzucić, a co ważniejsze - ona musi zrozumieć.

- Tamaro - zaczął, ściskając jej dłonie i prosząc w myśli, by się skupiła. - Muszę ci coś wyznać, teraz. Nie chcę, żebyś to później sama odkryła.

- Czy Matthew zrobił coś...

- To nie ma nic wspólnego z Matthew. Dotyczy to nas, tego dziecka.

Wyrwała mu dłonie i cofnęła się.

- Armandzie, zaczynam się bać.

- Dziś podpisałem swój testament.

Twarz Tamary poszarzała, a jemu ścisnęło się gardło. Wciąż jeszcze mógł zamilczeć. Odczekać do chwili, gdy podanie tej informacji będzie konieczne, może po następnym dziecku albo jeszcze kolejnym. Ale skoro już zaczął, nie potrafił zostawić sprawy niedokończonych.

- Jest w nim klauzula ograniczająca zakres dziedziczenia tego dziecka oraz wzór pozwalający obliczyć, jak kolejne nasze dzieci będą dzielić pozostałą część pomiędzy siebie.

- Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz traktować wszystkich dzieci jednakowo? Że to dziecko nie będzie miało równego z innymi głosu w firmie i zarządzaniu majątkiem?

- Mogłem poczekać do narodzin następnego, ale nie chciałem pozostawiać niczego przypadkowi. Musiałem się upewnić, że we właściwy sposób zadbałem o wszystko i o wszystkich.

- Tak jak twój ojciec powinien był staranniej przemyśleć tę idiotyczną klauzulę dotyczącą ciebie?

- Tak - przyznał, choć ciężko mu to przyszło.

- A co powiesz na jego sposób zadbania o Marca? To imię - a właściwie idąca za nim dezercja - sprawiło większy ból niż zwykle.

- Miał na imię Marco - warknął.

- Nie tobie decydować za niego, jak się nazywał odparła z twarzą pełną cierpienia.

Odwrócił się do niej plecami, zbywając rzecz machnięciem ręki.

- Nie próbuj wykorzystywać go przeciwko mnie. Zaoferowałem mu udziały w firmie. Odmówił.

- Mogę tylko zgadywać, ale może to dlatego, że własny ojciec go wydziedziczył, więc nie chciał mieć z wami nic wspólnego.

- Dante był przekonany, że Marc był synem innego mężczyzny.

Aż się zachłysnęła.

- To bzdura i świetnie o tym wiesz!

- Możliwe. Ale właśnie w to Dante wierzył. Miał swoją dumę, firmę do zbudowania, musiał zachować odpowiedni poziom. - Odwracając się ponownie, Armand uderzył się otwartą dłonią w udo. - Co w takim razie miał zrobić?

W głębi serca wiedział, choć odsuwał to od siebie jak najdalej: kochać biednego dzieciaka niezależnie od wszystkiego.

- Jeśli tak wygląda twoja interpretacja - prychnęła - musisz się czuć wyjątkowo szczodry, dając temu dziecku cokolwiek. - Była wściekła. - Chociaż wykonało swoje zadanie, więc co nieco zarobiło.

Czuł, że się cały skręca wewnątrz.

- Przyznaję, że od takich myśli się zaczęło. Jednak chciałem też, żeby miało dwoje rodziców. Wciąż pragnę, by miało jak najłatwiejszy start.

- Z powodu poczucia winy? - zadrwiła. - Bo ty masz wszystko, a Marc nie miał nic?

Podjął ostatnią próbę, zbierając starannie ostatnie okruchy cierpliwości.

- Chcę zadbać o to dziecko. To moja krew.

- Powiedziałeś, że chcesz być dla niego ojcem - przypomniała.

W jej oczach pojawiły się nieufność i niepewność.

- Chcę.

- Ale jakim ojcem? Ja też go mam. Bogatego i w pewnych kręgach dobrze znanego. Równie dobrze mógłby mieszkać na księżycu.

- Nic nie mogę na to poradzić. - Potrząsnął głową.

- Wierz mi... ja też nie chcę ani nie potrzebuję, byś cokolwiek robił.

Dobrze rozumiał takie podejście. Kiedy jedno z rodziców odchodzi bez jakiegoś ważnego powodu, po pewnym czasie jest dla niego za późno, by odzyskać utracone dziecko.

Tamara jakby czytała w jego myślach.

- Angela chciała wziąć ciebie, wiesz to, prawda? Ale Dante jej nie pozwolił.

- Dokonała wyboru.

- To on dokonał go za nią.

- I wybrał właściwie. Powinna go była posłuchać.

- Sugerujesz, że powinna była ulec szantażystce i zrezygnować z własnego rozwoju za cenę zachowania rodziny?

Jego tolerancja się skończyła. Czas użyć kolejnych argumentów.

- Jak ty byś wybrała?

- Nie powinnam w ogóle musieć wybierać. Angela też nie powinna była.

- Czasem istnieje tylko jeden słuszny wybór niezależnie od koniecznych poświęceń.

- O ile to nie ludzie tacy jak ty i twój ojciec muszą ustąpić.

- Na miłość boską, ja tylko chcę mieć rodzinę. Szczęśliwą, pełną, tradycyjną rodzinę.

- Tego pragniesz?

- Bardziej niż czegokolwiek. - Uniósł podbródek.

Tamara bardzo powoli potrząsnęła głową.

- Coś ci powiem, Armandzie. Bardziej niż czegokolwiek pragniesz zachowania kontroli. Po tej rozmowie nie jestem pewna, czy w ogóle jesteś zdolny do odczuwania miłości.

Znał idealną ripostę. Taką, która zasypałaby tę idiotyczną, rosnącą między nimi przepaść. Służyłaby jego celom, a jej oszczędziłaby bólu, tylko że te dwa małe słowa uparcie tkwiły mu w gardle jak ość. Wyraz jej twarzy się zmienił. Wyglądała, jakby jej go było żal.

- Mój Boże, nie potrafisz tego powiedzieć, nawet gdy od tego zależy twój los. Tak starannie wszystko zaplanowałaś, tak świetnie rozegrałaś. - W kącikach ust zagrał jej krzywy uśmiezek. - Najwspanialszy plan twego życia, prawda?

Skierowała się do drzwi. Rzucił się za nią, czując przyływ adrenaliny.

- Dokąd idziesz?

- Do mojego byłego pokoju - odparła, nie zatrzymując się. - Porobić trochę własnych planów.

Czyżby mu groziła?

- Nie zapominaj, Tamaro - powiedział, zaplatając ręce na piersi - że jesteśmy małżeństwem i nic tego nie zmieni. - Przynajmniej póki on żyje.

Zatrzymała się przy kolejce i popatrzyła na niego przez ramię.

- Dorastałeś w wielkiej krzywdzie i bardzo współczuję dziecku, którym byłeś. Jak widzę, pragniesz stworzyć szczęśliwą rodzinę, jakiej ci brakowało. Jednak im bliżej znajdujesz się czegoś, czego nie rozumiesz, tym gwałtowniej to od siebie odpychasz. Nigdy nawet nie pojmiesz, jak bardzo jesteś podobny do swojego ojca. Ja zaś nie będę się tu pętała jako twoje trofeum czy też inkubator. Nie pozwolę, by moje dziecko zostało wykorzystane i skrzywdzone tylko po to, by pomóc spełnić twoje egocentryczne marzenia dynastyczne.

Z oczami lśniącymi od powstrzymywanych łez ściągnęła z palca pierścionek z rubinem oraz obrączkę i upuściła je do tendra kolejki.

- Co światu dajesz, to od świata dostajesz. - Wcisnęła wyłącznik.

Pociąg zagwizdał i ruszył po kolistym torze. Armand chciał ruszyć za nią, powstrzymać ją przed odejściem. Musiała w końcu zrozumieć!

Tylko że czuł się jak wmurowany w podłogę, a pożegnalne słowa Tamary krążyły mu po głowie jak ta zabawka przed oczami. Powoli przysiadł, oparł podbródek na rękach złożonych na stole i zapatrzył się nieruchomo w mały tor. Co, do diabła, miał zrobić?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Armand stał w oknie biura, czując się jak zombie. Patrzył na promy z Sydney pozostawiające na wodach zatoki białe kilwatery. Przypominały mu one welon Tamary, to, jak wyglądała tamtego dnia. Potem pojawiał się jej obraz sprzed kilku dni, gdy zagroziła odejściem. Zawsze wtedy narastało w nim to samo mdlące, desperackie uczucie.

Dziś rano, gdy ukryta za drzwiami do spiżarki Ruth udawała, że jej nie ma, wypytał Tamarę spokojnie jedzącą tosta z dżemem. Podniosła wzrok znad notatek przeglądanych przed popołudniowym egzaminem i potwierdziła, że wieczorem już jej nie będzie. Miała do tego wystarczające środki - własny upór, pewną sumę pieniędzy oraz matkę pragnącą zadośćuczynić za przeszłe błędy. Sądził, że Elaine będzie po jego stronie. Dawno się tak nie pomylił.

Uderzył pięścią w ramę okienną. Próbował ją ugłaskać, uwodzić, parę razy prawie na nią nawrzeszczał, ale z doświadczenia wiedział, jak mało to wszystko było skuteczne. Wciąż jednak jeszcze coś ją przy nim trzymało. Musiał dojść do tego co to takiego. Potrzebował Tamary i nie miało to nic wspólnego z testamentem. Pożądanie, namiętność? Tak, ale i jeszcze coś więcej.

Podszedł do biurka, czując osłabienie i otepienie z braku snu.

Zapatrzył się na średniej wielkości brązową kopertę przyniesioną przez sekretarkę pół godziny temu, z początku praktycznie jej nie zauważając. Znienacka spostrzegł, że widnieje na niej adres domowy, nie DLE. Najwyraźniej trafiła tu przez pomyłkę. Zaadresowano ją do państwa De Luca.

Odwrócił ją szybko i stężał. Nadawca: doktor Marion Fielding.

Zdusił wątpliwości. Cokolwiek koperta zawierała, zaadresowano ją do nich obojga. Miał pełne prawo ją otworzyć. Rozdarł ją niecierpliwie i wytrząsnął zawartość. W ślad za pudełkiem z płytą DVD wypadła mała kartka. „Ultrasonogram pani De Luca" i dzisiejsza data.

Na dysku znajdowały się obrazy dziecka, o którym tak często rozmawiali z Tamarą i tak często je sobie wyobrażali.

Musiał je zobaczyć, teraz, natychmiast.

Wyciągnął dysk z pudełka i podszedł do stojącego w rogu sprzętu medialnego. Wysuwanie szuflady z odtwarzacza trwało całe wieki. Nacisnął co trzeba i obracając na palcu obręczkę, w nieskończoność czekał na pojawienie się na ekranie plazmowego telewizora pierwszego obrazu.

Wiedział, że Tamara miała umówioną na dziś wizytę. Spodziewał się, że mu powie, jak bardzo ma gdzieś jego kosztowną opiekę medyczną. Całe szczęście, że tego nie zrobiła. Pomimo złości i rozczarowania wciąż przede wszystkim zależało jej na dobru dziecka. Niech to szlag, jemu też!

Pokazało się główne menu. Armand wybrał „odtwórz wszystko”.

Zapatrzył się na ziarnisty obraz: dziecko... prawdziwe maleństwo z palcami, oczami i bijącym szybko drobnym sercem. Poruszało się jak na zwolnionym filmie. Nie odrywając wzroku od ekranu, Armand przysiadł na stojącym za nim stoliku do kawy.

Z głośników dobiegał głos lekarki rozmawiającej z Tamarą. Spodziewał się, że jego żona będzie sprawiała wrażenie smutnej lub zagubionej. Słyszał jednak tylko krótkie odgłosy zachwyty, a kiedy dziecko odwróciło się jakby ku obserwatorom, wybuch radosnego śmiechu. A gdy podniosło małą piąstkę do ust, Armand roześmiał się razem z kobietami. Kopnięcie wymierzone nóżką przywiodło mu na myśl lecącą piłkę i jego samego chwytającego ją.

Od silnych emocji coś zaświdrowało mu w nosie i pod powiekami. Odchrząknął, chcąc się opanować, ale zamarł, gdy pędzel wymalował na dole ekranu na różowo „witaj, mamusiu” i na niebiesko „witaj, tatusiu”. Drugi napis otoczony był kółkiem.

Chłopiec?

Armand osłabł tak, że niemal się zaczął przewracać. Z trudem utrzymał się na nogach. Dziecko kopało nadal, a Tamara śmiała się i rozmawiała. Wstał i powoli podszedł bliżej. W końcu zrozumiał wszystko. Wpatrywał się w niesamowity obraz - żywy, przemawiający do niego - wyciągnął rękę, by dotknąć ekranu.

Stojąc w smudze popołudniowego światła wpadającego do sypialni, Tamara zmusiła się do przyjrzenia się pięknym strojom rozłożonym na łóżku. Otarła za-
błąkaną łzę.

Nic nie mogło jej powstrzymać przed zrobieniem tego co konieczne. Zdała egzamin i wiedziała, że jest wystarczająco dobra, by w najbliższym semestrze uzyskać dyplom. Może nie była najmądrzejsza, ale na pewno należała do najbardziej zdeterminowanych studentów.

Kochana Ruth dała jej walizkę i zamówiła taksówkę. Matka czekała na nią na lotnisku w Melbourne. Zostało tylko...

Odejść.

Gdy szła wyciągnąć dzinsy z szuflady, musiała stanąć na chwilę i zagryźć drżącą wargę. Jej mąż, nadzieje na przyszłość, wszystko, co mogła przynieść kielku-
jąca miłość... skończone.

Podeszła z powrotem do walizki. Leżący u jej stóp Mistrz wydał z siebie pomruk zaniepokojenia i szturchnął ją w kostkę mokrym nosem. Przykucnęła, by popieścić go chwilę po miękkich, ciepłych uszach, a potem, wstrząsana dreszczami, których nie umiała powstrzymać, włożyła kilka sztuk odzieży do walizki. Bielizna, dwaienne kostiumy, klapki, klasyczne czarne spodnie, bardzo skąpy błękitny kostium kąpielowy...

Westchnęła głęboko, gdy spadła na nią fala nieznośnego cierpienia. Drżące kolana ugięły się pod nią i osunęła się na łóżko, czując, że za moment wybuchnie płaczem. Ukryła twarz w dłoniach. Stracone zaufanie, tyle miłości i nie ma jej gdzie ulokować...

Znajome poruszenia w brzuchu odwróciły jej uwagę. Zdołała się uśmiechnąć i objęła dłonią ledwie wyczuwalną wypukłość na brzuchu. Pomimo całego bólu powinna dziękować za ten cud. Jak mogła o nim zapomnieć, nawet na sekundę? Miała gdzie skierować wszystkie swoje uczucia. Tu, pod jej dłonią, jest powód, dla którego musi opuścić ten wielki pusty dom.

Unikatowa i zasługująca na wszystko co najlepsze osoba, której potrzebne jest zapewnienie własnej tożsamości i poczucia wartości. Tych lekcji nie da się przerobić pod miłościwym panowaniem Armanda De Luki, mówiącego do jej dziecka „synu”, a myślącego „pionku”.

Nigdy w życiu nie pozwoli na coś takiego.

Rzucając kosmetyczkę na koszulę nocną, jeszcze raz pomyślała o odejściu z rezydencji rodu De Luca. Miała nadzieję, że jeśli Armand, pomimo jej ostrzeżeń, wróci do domu wcześniej, nie będzie próbował jej zatrzymywać. Dziś rano jasno dała do zrozumienia, że jeśli będzie się wtrącał, ona zadzwoni do Matthew i zasugeruje przeprowadzenie testu na ojcostwo, co porządnie pomiesza mu szyki. Podjęła decyzję. W zamian za nieutrudnianie odejścia pozwoli mu twierdzić, że jej dziecko jest jego legalnym spadkobiercą, jednak tylko do czasu odzyskania pełnej kontroli nad DLE.

Na pewno jednak dwunastomiesięczny okres separacji, niezbędny przed złożeniem papierów rozwodowych, rozpocznie się dzisiaj. Kiedy syn podrośnie, wszystko mu wyjaśni. Modliła się, by zrozumiał.

Zdjęła walizkę z łóżka i rozejrzała się dookoła ostatni raz. Już wcześniej pożegnała się z Ruth. Obie zrosiły to łzami. Teraz pozostało tylko wyjść.

Podeszła do okna, by się pożegnać z ulubioną dracena i zobaczyła mercedesa zbliżającego się szerokim podjazdem. Przesunęła się, by lepiej widzieć. Wóz zatrzymał się dokładnie pod oknem, wysiadł z niego Matthew Mohill i ruszył do wejścia.

Zastanawiając się, o co chodzi, sprawdziła godzinę na zegarku z brylantami podarowanym jej przez Armanda dla upamiętnienia pierwszego tygodnia ich małżeństwa, a potem rozpięła jego bransoletkę i odłożyła go na szklaną gablotkę. Za dziesięć minut zniknie stąd.

Schodząc po szerokich schodach, usłyszała rozmowę prowadzoną podniesionymi głosami. Spokojne słowa Matthew dotarły do niej jako pierwsze.

- Interesująca zabawa w kotka i myszkę, Armandzie, ale wszystko co dobre kiedyś się kończy.

- Tylko z jednego powodu - odparł Armand. - Wpuściłem cię do domu dla przyjemności powiedzenia ci, żebyś poszedł do diabła.

Tamara schodziła coraz wolniej. Nie chciała podsłuchiwać, ale nie mogła się powstrzymać.

- Wykonałeś kilka bardzo sprytnych posunięć - przyznał Matthew. - Wcale mnie to nie dziwi, twój ojciec dobrze wybrał.

- Uważaj, Matthew. Odebrałeś sobie prawo odzywiania się do mnie z wyższością, gdy odrzuciłeś lojalność, by mnie okraść.

- By zapewnić sobie niekwestionowaną kontrolę nad firmą - wyrecytował Matthew - oddaną w moje ręce przez legalną i świętą ostatnią wolę wielkiego Dantego De Luca.

- Prędzej piekło zamarznie - warknął Armand lodowato.

Tamara, z bijącym sercem, podsunęła się bliżej wejścia do głównego salonu, na tyle, by zobaczyć Matthew stojącego przy donicy z palmą.

- Pamiętam, jak powiedziałem coś podobnego kilkadziesiąt lat temu - rzekł - tylko do siebie. Właśnie skończyłem szkołę prawniczą i pomagałem Dantemu sporządzać umowy i nawiązywać kontakty prywatne i polityczne, które miały pomóc posmarować odpowiednie dłonie i w nadchodzących latach zdobywać lukratywne kontrakty. Te spełniły nasze oczekiwania i w końcu dały nam miliony.

- Nudzisz mnie - rzucił Armand, spokojnie zakładając ręce za plecy.

Matthew, nie zwracając uwagi na ten komentarz, nalał sobie szklaneczkę whisky z karafki stojącej na ruchomym barku obok jednej z kanap.

- Mieliśmy z Dantem układ partnerski. Nikt tego teraz nie pamięta. Ja dawałem biegłość w prawie, on fundusz zakładowy - zachichotał. - Zamierzaliśmy kupić cały świat.

- Do rzeczy, proszę. - Armand wsunął ręce do kieszeni.

- Wszystko w swoim czasie, mój chłopcze. - Pociągnął łyceczek i usiadł na kanapie. - Po ustawieniu kontraktów Dante uznał, że mnie już nie potrzebuje. Przy pomocy zarządu pozbawił mnie władzy. Och, był dość hojny, żeby zapewnić mi miejsce w firmie. Nawet podarował mi szczodry pakiet akcji, gdy wystartował na giełdzie.

- Jeśli to prawda - rzekł Armand, mrużąc oczy - dlaczego pozostałeś w DLE?

- Dla zemsty. - Matthew wzruszył ramionami. - Postanowiłem pewnego dnia odzyskać wszystko co moje. Przez lata zdobyłem bogactwo i prestiż w swoim zawodzie. Straciłem chęć do rozlewu krwi. Naprawdę troszczyłem się o ciebie, chłopcze. Jesteś tym wszystkim, czym był Dante, tylko jeszcze bardziej. Był twardy w interesach - ciągnął, moszcząc się wśród poduszek - ale jego słabą stroną była rodzina. Odepchnięcie Marca było błędem, ale nie rozumiałem go nigdy tak dobrze jak teraz, gdy sam mam zostać ojcem.

Tamara przytuliła się do ściany, wstrzymując oddech.

- Byliśmy z Dantem partnerami, ale teraz jest o wiele za późno, by mówić o podziale pół na pół. Moje dziecko zasługuje na dający pełną kontrolę większościowy pakiet i dostanie go, czy tego chcesz, czy nie.

- Jeśli to wszystko prawda, dlaczego ojciec wyznaczył ciebie na powiernika?

- Przez dziesięciolecia siedziałem cicho. Jestem pewien, że uważał, że od dawna nie ukrywałem sztyletu w rękawie. Wierzył też, że bardzo szybko zadziałasz w celu spłodzenia spadkobiercy. Zawsze robiłeś, co ci kazano.

Matthew nagle odwrócił głowę. Tamara cofnęła się gwałtownie, ale już ją zauważył. Pomachał do niej.

- Chodź, moja droga. W końcu grasz jedną z głównych ról w tej intrydze.

Armand wyciągnął ręce z kieszeni i wyprostował się groźnie.

- Nie mieszaj jej do tego.

- Dlaczego? - Matthew sprawiał wrażenie rozbawionego. - Bo ci zależy? Na niej czy na bękarcie, którego nosi?

Armand, z twarzą wykrzywioną ślepią furją, niemal się przewrócił o kanapę, ruszając w stronę Matthew. Tamara podbiegła, by mu zablokować drogę. Odepchnął ją.

- Zejdź mi z drogi! - warknął.

Przytrzymała go.

- Co w ten sposób osiągniesz?

- Na początek złamany nos - rzucił, uwalniając się.

Zablokowała go.

- A potem?

Oddech Armanda uspokoił się nieco, oderwał wzrok od Matthew i popatrzył w końcu na nią. Chwycił ją za ramiona.

- Musimy porozmawiać - rzekł.

Matthew odstawił kieliszek na stolik i wtrącił się:

- O ojcostwie? Za późno. Wiem, że to dziecko nie jest twoje. Nie tylko ty potrafisz korzystać z prywatnych detektywów, Armandzie - Wstał. - Warunki klauzuli testamentu nie są spełnione. Depozyt pozostaje u mnie. Wyrok zapadł.

- Co cię skłania do przekonania, że w jakichkolwiek okolicznościach poddam się bez walki?

- Nie masz do niej prawnych podstaw. - Matthew strzepnął pyłek z rękawa.

- Mam, a co najważniejsze, muszę chronić interes rodziny.

- Masz tylko - sprostował Matthew, zgorszony - kobietę, która najpierw sypiała z pewnym mężczyzną, potem wyszła za jego brata i możliwe, że, jeśli po drodze nie było jeszcze jakichś mężczyzn, masz bratanicę czy też bratanek. - Tamara aż się zachłysnęła. Matthew musnął ją wzrokiem. - Wybaczcie, że jestem tak obcesowy, ale my, zahartowani adwokaci, skaczymy prosto do gardła.

- Posłuchaj mnie uważnie, Matthew - odezwał się Armand głosem, w którym czaił się mord - bo nie będę dwa razy powtarzał. Mam gdzieś twoją historię. Obchodzi mnie tylko to, że mnie oszukałeś i odzyskam kontrolny pakiet De Luca Enterprises, nawet jeśli będę musiał walczyć z tobą do końca swoich dni. - Podszedł bliżej. - Jeśli sądzisz, że nie wygram, sprawdź mnie. A jeżeli kiedykolwiek jeszcze w taki sposób odezwiesz się do mojej żony, udziały w DLE przestaną dla ciebie stanowić problem. Będziesz martwy.

Tamara wpatrywała się w mężczyznę, który jej bronił. W pokoju zapadła absolutna cisza. Nie zakłócało jej ani tykanie zegarów, ani odgłosy z zewnątrz. Świat ograniczył się do dwóch spojrzeń wścibskich w siebie nawzajem.

Matthew wycofał się pierwszy.

- Jednego wszyscy troje możemy być pewni - powiedział w końcu. - W trakcie sprawy rozwodowej zostaniesz puszczony z torbami. - Uśmiechnął się do Tamary z lekkim ukłonem. - Chętnie zaoferuję swoje usługi.

Poczuła fizyczny wstręt.

- Żadnego rozwodu nie będzie - oznajmił stanowczo Armand.

Matthew wyjął wizytówkę i rzucił ją na stolik.

- Zadzwoń. Może przedyskutujemy zalety mojej reprezentacji.

Ledwie prawnik zniknął z pokoju, a może i z ich życia, rozległ się klakson. Tamara podskoczyła. Już czas.

- To moja taksówka. - Jak najszybciej, żeby nie myśleć za dużo, wzięła walizkę porzuconą przy wejściu. Armand przytrzymał ją za ramię.

- Nie odchodź - poprosił miękko.

Odwróciła się do niego z mocno bijącym sercem, próbując się uwolnić.

Proszę, Armandzie, nie pogarszaj sprawy, pomyślała.

- Wiesz, że muszę. - Już było jej trudno. Zwłoka tylko przedłużała ból.

- Potrzebuję cię.

Serce jej się tak ścisnęło, że zabrakło jej tchu. Zignorowała głębszy sens jego słów.

- Nie ma co dłużej udawać w sprawie ojcostwa. Wygląda na to, że czeka cię solidna walka.

- Ucieszyłabyś się, gdybym przegrał?

Zachnęła się gwałtownie.

- Oczywiście, że nie. Wcale nie chcę twojej krzywdy, Armandzie. Ja...

Powstrzymanie się od wyznania nic nie dało. Sam to powiedział.

- Kochasz mnie. A ja Kocham cię, bardziej, niż kiedykolwiek odważyłbym się przyznać.

Zamknęła powoli oczy, jakby te tak długo wyczekiwane słowa kompletnie ją oszołomiły. Powinna się odsunąć, wyjść natychmiast, ale musiała dotrwać do końca.

- Miłość doprowadziła mojego ojca do szaleństwa - powiedział. - Ja zakochałem się, mając dwadzieścia cztery lata. Po tym doświadczeniu miałem ochotę schować się na zawsze w czarnej dziurze. Ale twoja miłość jest piękniejsza od wszelkich baśni. Jest prawdziwa. Nie możemy jej stracić.

Emocje targały nią jak burza. Usta jej drgały, a serce pękało na pół, gdy wyszeptała z trudem:

- Armandzie... to za mało. Za późno.

- Za późno na to? - Przyciągnął ją do siebie.

Jego pocałunek był czymś więcej niż którykolwiek dotychczas - czysta magia, wrząca iskrami. Wszystko w niej domagało się, by mu przebaczyć, uwierzyć i poddać się całkowicie jego urokowi.

Tylko że to nie takie proste. Nie tylko zranił jej uczucia, ale odrzucił podstawy, na których chciała budować całe ich przyszłe życie. Nic nie miało pierwszeństwa przed dobrem jej dziecka. Choć teraz nie potrafiła sobie tego wyobrazić, miała nadzieję, że kiedyś spotka kogoś, kto tak samo mocno jak ona będzie wierzył w jej marzenia, których nigdy nie porzuci. Prędzej pozostanie sama.

Po pocałunku Armand przyjrzał się jej twarzy. Widząc wypisaną na niej decyzję, spróbował innej drogi.

- Rozumiem, dlaczego mi nie ufasz, lecz nie chodzi tu o to, czy chcę, czy potrafię się zmienić. Czuję, że to, co jest między nami, pochodzi ode mnie takiego, jaki zawsze byłem. Tylko że właśnie ta część mnie została zniszczona niemal całkowicie przez moje dzieciństwo. Ty poszłaś naprzód, zawarłaś rozejm z Elaine i odrzuciłaś wszelki żal, jaki miałaś do mężczyzny, który cię nie uznał.

Próbowała wzruszeniem ramion zaprzeczyć temu komplementowi, ale powstrzymał ją, położywszy palec na jej ustach.

- Tamaro, dziś odkryłem, jak daleko zaszedłem. Pokażę ci coś.

Wszystko w niej ostrzegało, by nie dać się prowadzić ku kolejnemu uwiedzeniu. Lecz wypowiedziane słowa - te, za którymi tak tęskniła - wciąż wirowały jej w głowie, skłaniając do wybaczenia.

- Chodź, zobacz - powiedział, poważniejąc - i jeśli nadal będziesz chciała odejść, odsunę się i nigdy więcej nie będę ci zwracał głowy.

Rozluźniła się nieco i skinęła głową. Podeszli do telewizora, dotknął kilku przycisków. Kiedy na ekranie pojawił się obraz jej dziecka, poczuła guł w gardle.

Całkowicie oczarowana jego poruszeniami, tak samo jak dziś rano, Tamara zapomniała o towarzystwie. Kiedy wróciła do rzeczywistości, spostrzegła, że uwaga Armanda skupiona jest nie na ekranie, tylko na niej.

- Jak zdobyłeś tę płytę?

- Dobre wróżki? - Przynął się. Zauważyła błyski uśmiechu w kącikach jego oczu. - Dostarczono ją do mojego biura zamiast tutaj.

Z wysiłkiem oderwała wzrok od jego oczu, żeby podziwiać, jak jej maleństwo ssie palec. Uśmiechnęła się, wspominając przyływ szczęścia, gdy Marion wyraziła przekonanie, że to chłopiec.

- Nie chciałeś tego oglądać?

- Miałem nadzieję, że później zrobimy to razem.

Otoczył ją w talii ramionami. Jej postanowienie chwiała się jak miraż w falach płynącego od niego ciepła. Łzy, zrodzone z dezorientacji i zakazanych pragnień, wypełniły jej oczy. Nie mogła już dłużej.

- To nasze dziecko - rozległ się jego szept, tuż przy jej uchu. - Nieważne co się stanie, zawsze będę o nie dbał. Ucieszysz się pewnie na wieść, że dziś poleciłem prawnikom zniszczyć mój testament. Jeśli chcesz, możemy pójść tam razem i zadbać, by w następnym wszystko było tak, jak być powinno, niezależnie, czy będzie to dziesięć miliardów czy dziesięć centów. -

Musnął wargami jej włosy. Jego zapach atakował jej zmysły. - Zadowolę się niczym, jak długo będę miał dwie najważniejsze w moim życiu osoby.

Niezdolna do wykrztuszenia choćby jednego słowa z powodu głupiej desperackiej nadziei, zamrugła i dwie słone krople spłynęły jej po policzkach.

- Kocham cię, Tamaro - jęknął. - Uwielbiam. Możesz na to zareagować tylko na dwa sposoby. Wyjść albo... zaufać mi. I o to cię proszę.

Jej postanowienie chwiała się w posadach, jednak wciąż jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Nie patrząc mu w oczy, zadała je:

- A jeśli zechcę odtworzyć swoją firmę?

Już prawie zdobyła dyplom, a zawsze zamierzała wykorzystać tę wiedzę w praktyce. Nie umiała przewidywać przyszłości, ale nie potrafiła sobie wyobrazić porzucenia tego celu.

- Będę miał dodatkowe powody do uczestniczenia w opiekowaniu się dzieckiem, w którym zresztą zamierzam uczestniczyć od samego początku.

Rzuciła mu pełne zdumienia spojrzenie.

- Żartujesz chyba?

- Przyznaję, że nie jestem za bardzo pewien co do zmieniania pieluszek, ale całej reszty owszem. Chcę urządzać urodziny, pomagać w lekcjach czy radzeniu sobie z kłopotami, utulać w bólu i grać w piłkę. Wierzysz mi, prawda, Tamaro? Musisz, bo niczego w życiu jeszcze nie byłem tak pewien. Nic nigdy nie będzie ważniejsze dla mnie od ciebie i naszej rodziny... każdej osoby w niej, wszystkich jednakowo kochanych.

Gdy ją objął, by przytulić, znalazła w sobie dość odwagi, by zmarszczyć brwi.

- Wciąż nie jestem w pełni przekonana.

- Naprawdę?

Otarła dłonie o biały gors jego koszuli, po czym pociągnęła ku sobie rozluźniony węzeł krawata.

- Może powinnam wypróbować tego nowego ciebie, zanim podejmę ostateczną decyzję?

- Świetny pomysł - powiedział z uśmiechem, przygarniając ją. - Zaczniemy od najprostszego.

Zaczął ją całować, niesłychanie delikatnie, najpierw jedną wargę, drugą, kąciki ust i dalej, aż w pewnym momencie zorientowała się, że obejmuje go za szyję i odpowiada pocałunkami, coraz bardziej się ciesząc jego pieścizotami.

Kiedy w końcu nieco ochłonęli, czuła się tak, jakby się unosiła kilka centymetrów nad podłogą. Nie mogła się już dłużej powstrzymać.

- Kocham cię, Armandzie. Od tak dawna chciałam ci to powiedzieć.

Zamrugał kilkakrotnie, z pełnym wdzięczności uśmiechem i jasnym, szczęśliwym spojrzeniem. Pocałował ją w skroń.

- Jeśli chcesz kolejnej próby, jestem do dyspozycji przez cały dzień. A właściwie to przez resztę życia.

Przepełniona radością, nadzieją i ogromem miłości cofnęła się, by popatrzeć na przystojną twarz męża.

- Chyba powinniśmy zacząć od razu.
- Podpisuję się pod tym obiema rękami.

EPILOG

Tamara westchnęła z satysfakcją, przyglądając się urodzinowemu transparentowi nad łukiem wejścia do kuchni. To już rok. Gdzie się podział ten czas?

Bieg jej myśli przerwała dłoń na ramieniu.

- Szybko, kochanie - uśmiechnęła się Elaine. - Ruth idzie z ciastem.

Tamara przygasiła światła i razem podeszły do wielkiego, drewnianego stołu. Armand, w dzinsach i koszulce z krótkim rękawem, sprawiając wrażenie zupełnie rozluźnionego, dmuchał w imprezowy gwizdek, a jego syn podskakiwał w wysokim krzeselku, piszcząc z radości. Kiedy Tamara do nich dołączyła, mąż odruchowo objął ją w pasie. Chwilę później Ruth postawiła na stole ciasto, z wetkniętym jednym zimnym ogniem sypiącym iskrami.

- Bardzo proszę, mały człowieku. Dziś wielki dzień!

Czworo dorosłych zaczęło śpiewać, a Max De Luca uśmiechał się radośnie i klaskał.

Po trzecim radosnym okrzyku Armand ucałował dziecko w głowę i lekko zmierzwił jego włosy w kolorze toffi. Gdy Elaine pomagała Ruth kroić ciasto, przytulił żonę i uśmiechnął się do jej zakochanych oczu.

- Wygląda na to, że Maksowi spełniło się życzenie.

Tamara roześmiała się.

- To ty zamówiłaś sernik z czekoladą, nie Max.

- Mówiłem o huśtawce. - Popatrzył na dłoń. - Składanie tego potwora zajęło mi pół nocy.

Pocałowała odcisk pozostawiony przez klucz.

- Mogłeś wynająć kogoś do tej roboty.

- I popsuć sobie całą zabawę?

Zadzwoił telefon w kuchni. Ruth poszła odebrać, a Armand wziął dwa talerzyki i podał jeden żonie.

- Ruth, ktokolwiek to jest, nie ma mnie.

Wszyscy już usiedli i światło zostało włączone, kiedy Ruth wróciła i podała Armandowi słuchawkę. Przerwał karmienie Maksa.

- Chyba powinieneś odebrać - powiedziała Ruth poważnym tonem.

Elaine przejęła obowiązki karmicielki, a Armand słuchał z coraz głębszym grymasem na twarzy. Kiedy się rozłączył, Tamara była jednym kłębkim nerwów. To musiało być to.

- Twój prawnik? - spytała.

Armand skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Wydaje się, że Matthew Mohill w końcu zrezygnował.

- Dzięki Bogu!

- Może ma to coś wspólnego z urodzinami jego syna w tym tygodniu, ale najwyraźniej chce zakończyć wojnę i skupić się na życiu osobistym.

- Czyli interes z Chinami może ruszyć?

- W przyszłym tygodniu wstępne kontrakty można będzie zastąpić długofalowymi - odparł Armand, puszczając do niej oko. Złapał gwizdek i dmuchnął w stronę Maksa, który powitał to radosnym piskiem, jakby to była zupełnie nowa zabawa.

Nad stołem krzyżowały się gratulacje i podziękowania. Tamara zacisnęła usta. Planowała powiedzieć mężowi w cztery oczy, ale ten moment wydawał się najlepszy z możliwych.

- Ja też mam wieści - ogłosiła.

Elaine popatrzyła na nią z oczekiwaniem.

- Zamierzasz dalej studiować?

Armand zgadywał jako drugi.

- Uruchamiasz firmę? Będziemy bardzo zajęci, co, synu? - Połaskotał Maksa w brzuch.

- Oboje się mylicie. Znowu zostaniemy rodzicami. Max będzie miał brata lub siostrę.

W pokoju zapadła cisza. Nawet Max siedział spokojnie, czekając z szeroko otwartymi, błękitnymi oczami. Potem Armand zerwał się na równe nogi i pociągnął za sobą Tamarę. Okręcił się dookoła, trzymając ją w objęciach.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Właśnie to zrobiłam - zaśmiała się, odzyskując dech.

- Wkrótce będziemy mieli Georgię - zaryzykował.

- Albo Daniełę, albo małego chłopca. - Wzruszyła ramionami. - Nieważne, kto to będzie.

- Bardzo cię kocham. Chyba dziś ci jeszcze tego nie mówiłem.

- Była to pierwsza rzecz, którą mi rano powiedziałeś, od razu po obudzeniu - sprostowała żywiłowo.

- I będzie ostatnią, którą powiem przed zaśnięciem.

- Ta-ta. - Oboje zamarli, patrząc na syna, który wyciągał rączki w ich stronę.

- Pamiętaj, co właśnie powiedziałem - mruknął Armand, całując Tamarę w usta.

Tamara przyglądała się, jak wyciąga Maksa z krzeselka. Zachichotała, gdy go podniósł na wyciągniętych rękach. Podziękowała w myśli losowi. Cuda się zdarzają w różnych rozmiarach i kształtach. Duże i małe. Ona uwielbiała swoje dwa każdego dnia coraz bardziej.

